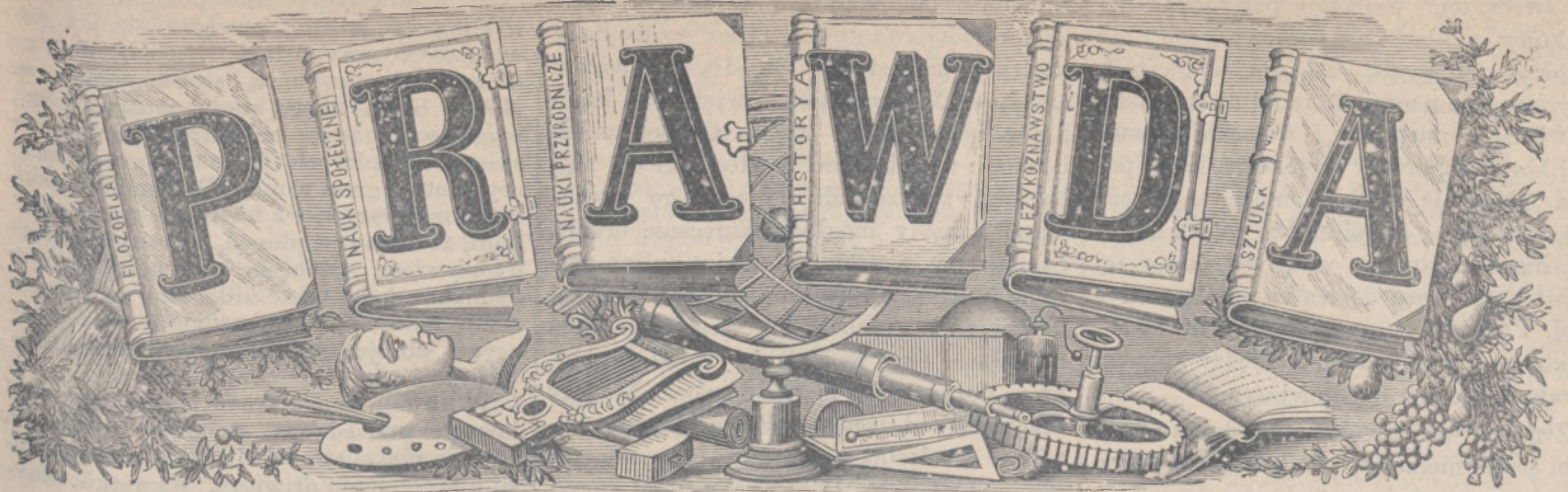
№ 8. Warszawa, dnia 19 (7) Lutego 1887 r. Rok VII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

CIERPKIE OWOCE.

Oba listy kardynała Jacobiniego, usiłujące wywrzeć nacisk na stronnictwo centrum w sprawie pomnożenia armii niemieckiej na lat siedm, mogą papieża kosztować, a po części już kosztują bardzo drogo. Z wyjątkiem bowiem gadzinowej prasy pruskiej, ściągnęły one na siebie powszechną naganę. Bo też rzeczywiście Leon XIII z dziwną niezręcznością obraził tyle różnorodnych i różnostronnych uczuć, że posypał się na niego gęsty grad wymówek i złorzeczeń.

Przedewszystkiem dotknięte zostało centrum. Za wierną, rzec można — niewolniczą wysługę przez lat kilkanaście, za walki, cierpienia i poniewierkę otrzymało ono w stanowczej, rozstrzygającej chwili dowód niełaski i niesprawiedliwości, ujrzało swego tak sławionego „ojca św." w przymierzu z nieprzejednanym wrogiem. Uczciwej tej gromadce przysłano z Watykanu rozkaz poddania mężnie bronionej twierdzy i złożenia pod stopami nieprzyjaciela obywatelskiej a dotąd zwycięzkiej chorągwi. Bo nie zapominajmy, że centrum, ograniczając żądanie kanclerza, zwartym szeregiem osłoniło zagrożoną konstytucyę i prawa parlamentu, które ks. Bismark chciał wydrzeć narodowi na korzyść swej wszechwładzy. Prawa to słuszne, ale poświęćcie je i ustąpcie, bo ja, papież, chcę zrobić przyjemność rządowi pruskiemu — czy mogła być komenda bardziej obrażającą a nadużycie władzy moralnej i wpływu bardziej krzyczącem? Musiało ono przejść nawet granice „trupiego posłuszeństwa" — jak kanclerz dawniej nazywał uległość posłów katolickich dla stolicy apostolskiej — skoro przywódcy centrum, znając treść listów kardynała Jacobiniego *przed* rozstrzygnięciem projektu wojskowego, nie udzielili jej swym towarzyszom sejmowym i nie poszli w uchwale ostatecznej wskazaną im z góry drogą. A chociaż Windthorst na zebraniu w Kolonii ponowił swą wiernopoddańczość względem papieża i przyrzekł „jeszcze raz dokładnie rozważyć jego życzenia," nie omieszkał jednak zastrzedz, że katolicy ulegną tym życzeniom tylko w zakresie „możliwości" i skorzystają ze swobody sądu w sprawach politycznych. Nadto hasło wyborcze, wydane przez sztab centrum, nie zmienia w niczem jego programu i zasad stosowanych dotychczas, czyli — zwraca się pośrednio przeciwko woli papieża. Nawet duchowieństwo — jak np. biskup Kopp (znany stronnik Bismarka) — oparło się komendzie. Takiej herezyi doczekał się Leon XIII śród swych owieczek najpotulniejszych!

Prasa przyjazna rządowi pruskiemu, ale nieposiadająca sumienia sprzedanego, chociaż wyzyskuje listy papieskie w salach wyborczych i kuje na gorąco swój interes, nie może jednak ukryć kwaśnej miny wobec tego mieszania się obcej, innowierczej władzy w wewnętrzne sprawy państwa. Boć z po za wszelkich osłonek i upiększeń wyłazi nieprzyjemny dla patryotyzmu niemieckiego fakt, że rząd wezwał pomocy zewnętrznej do walki ze swymi obywatelami, że tym sposobem znaczną część ludności sam oddał pod zwierzchnictwo obce i że taki przykład może mieć w przyszłości bardzo niebezpieczne następstwa. Gadzinowa trzoda za to jest płatna, ażeby zachwycała się wszystkiem, co jej polecą chlebodawcy; więc jak dawniej lżyła papieża, tak go dziś temi samemi ustami sławi. Ale dla niezależnych od tego karmnika dziennikarskiego patryotów wkroczenie Leona XIII na pole walki wewnętrznej musi być przykrem. To też śród konserwatyzmu protestanckiego wiwaty więzną w gardle, a szemrania i skargi wymykają się zeń ustawicznie.

O chudych, ostrzyżonych i ogłodzonych owieczkach poznańskich i wogóle o katolikach polskich — wiemy. Opuściwszy głowy, wzdychają i nie próbują nawet domyślać się głęboko ukrytej dla nich troskliwości w „mądrych wyrokach ojca św." i jego kokieteryi względem ks. Bismarka.

Zgroza ogarnęła również Francyę. Wszakże przeciw niej kanclerz niemiecki chciał pomnożyć wojsko, przeciw tej „ukochanej córze Kościoła" wymierzony był ów projekt, za którym centrum z polecenia papieża głosować miało! Cóż to więc za „ojciec" katolików, który ofiaruje swą pomoc państwu protestanckiemu na zgubę katolickiego? Gdzie on okazuje dbałość o interesy religijne, o dobro swej owczarni? Więc katolicy niemieccy z jego rozkazu winni gotować klęskę dla swych współwyznawców? Takie słuszne i nieodparte pytania postawiła prasa francuska. Wężowa sofistyka ultramontańska usiłuje się między niemi prześliznąć, ale trud to daremny. Plam samolubstwa zlizać z fatalnych listów niepodobna, bo są zbyt szerokie i zbyt ciemne. Kościół katolicki, podminowany we Francyi robotami radykalizmu, pod tem niespatrznie nań zwalonem oskarżeniem uczuł niepewność gruntu i żal do swego przewodnika za niezręczność taktyczną. A takie wypadki łatwo w niepamięci nie toną.

Może najsłuszniejszem oburzeniem wybuchnęli włosi. Pomijając względy religijne, papież, napomknąwszy w listach o nadziei zyskania za tę usługę od kanclerza niemieckiego poparcia w swych uroszczeniach świeckich, zranił głęboko patryotyzm włochów, którzy nie myślą wykrawać dlań w swej ojczyźnie państewka a tem mniej pod naciskiem obcym. Rzucają też oni na Watykan pociski piorunujące. Łatwo zrozumieć i uznać tę kanonadę, uprzytomniwszy sobie ważny powód gniewu i nienawiści. Obywatele królestwa z takim trudem i tak niedawno zjednoczonego widzą,

że w swem łonie posiadają potężnego wroga, który zabija kliny w pień narodu i nie przebiera ich wcale. To nie namiestnik Chrystusa, nie naczelnik religijny kościoła, ale wiecznie nurtujący i wiecznie o świeckiej koronie marzący pretendent, który posiada olbrzymie środki pieniężne a jeszcze większe wpływy moralne. Nie używa on religii dla umoralnienia wiernych, ale w jej ogniu kuje oręże do walki czysto politycznej. Prasa też pozawatykańska nie szczędzi klątew i wymysłów, pomiędzy którymi „zdrajca“ nie jest najsilniejszym.

„Zręczny“ więc dyplomata jednym zamachem zranił niemców, polaków, francuzów i włochów, a niedawno irlandczyków, którzy również nie usłuchali go, gdy im kazał opuścić Parnela, tak, że dziś chyba jedni hiszpanie, uszczęśliwieni Karolinami, nie żywią niechęci do Leona XIII.

I zapytajmy: *cui bono* cała ta kompromitacya? Czyż istotnie papież tak dalece nie rozumie warunków i ducha czasu, że wierzy w jakąkolwiek skuteczną pomoc obcą, zdolną mu przywrócić władzę świecką? Czy istotnie przypuszcza, że którekolwiek państwo rozpocznie o ten anachronizm wojnę z włochami? Na to trzeba posiadać naiwność niegodną „dyplomaty.“ Nawet jeśli ks. Bismark błyska mu przed oczami jakąś obietnicą i zechce—co jest bardzo wątpliwem—jej dotrzymać, czy zdobędzie się na coś więcej, niż na kilka słów platonicznej protekcyi za „więźniem“ urządu włoskiego, który je jednem uchem wpuści, a drugiem wypuści? Rzecz dziwna, dyplomaci watykańscy zimni, praktyczni, wyborni znawcy ludzi i stosunków, w tej przegranej sprawie są dziećmi upartemi, niepojmującemi niczego, prócz swych życzeń. Jest to ich *punctum coecum*, w którem gaszą swój rozum i popełniają najgrubsze błędy. Niech tam się Stolica apostolska pociesza iluzyą, dla wszystkich niezaślepionych jej obłędem pozostanie pewnym fakt, że ona ostatnimi zwrotami swej polityki osłabiła swą powagę w świecie katolickim i popchnęła Kościół do gorszącej awantury. Przez roztropność następcy papiestwo może odzyskać wzrok, ale Leon XIII zaufanie u większości katolików bezpowrotnie stracił. Opuścił on ich bowiem wielokrotnie i wtedy, kiedy najbardziej spodziewali się od niego życzliwości i kiedy mógł ich skutecznie bronić. Stłumiwszy w sobie pobudki religijno-moralne i uległszy wyłącznie politycznym, zamieniając coraz bardziej sprawę Kościoła na proces swój osobisty, wywołał niechęć, która mu już rodzi cierpkie owoce. Nie tego oczekiwał od następcy Piusa IX świat katolicki i bolesnego rozczarowania mu nie zapomni. Gdyby tylko okoliczności sprzyjały rozkładowi, jesteśmy pewni, że stara, nieraz już urzeczywistniana idea kościołów narodowych, wyzwolonych od Watykanu, pojawiłaby się teraz jednocześnie na wielu punktach.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 8 lutego.

Odpowiedź ministra Ziemiałkowskiego. — Znajdą się tacy! — Izby robotnicze. — Dr Kronawetter. — Wiec lwowskich robotników. — Najnowsze uchwała „autonomiczna“ z powodu ustawy ubezpieczającej robotników na wypadek choroby.

Nie mało jest w tem ironii losu, że właśnie w chwili ogólnego popłochu i alarmu sypią się jak z rogu obfitości zapewnienia pokojowe, a równocześnie zbroi się cała Europa, nie wyłączając nawet państewek drugo- i trzeciorzędnych, od stóp do głowy. Prosty rozum stawia pytanie: po cóż więc ten rumor wojenny, ten szczęk broni, jeśli wszystkie rządy, od których przecież zależy: pokój lub wojna, pragną pokoju? Na to pytanie można chyba dać odpowiedź parafrazą starej rzymskiej gadki: *si vis bellum para pacem!*

Opinia publiczna nie dowierza też obłudnym zapewnieniom. W przeszłym tygodniu mieliśmy w austryackiej Izbie poselskiej manifestacyę iście pokojową, która w kilka dni później przebrzmiała jak głos wołającego na puszczy, chociaż miała na sobie markę urzędową i stylizacyę dobitną. Mówię o odpowiedzi rządu austryackiego, wygłoszonej przez ministra Ziemiałkowskiego na interpelacyę lewicy zapytującej: czy istotnie grozi wojna? P. Ziemiałkowski, porozumiawszy się z hr. Kalnokym, zapewnił, że obawy są płonne, że wszystkie rządy ożywione są chęcią utrzymania pokoju. Jednakże dodał także kilka słów o „naprężeniu położenia,“ wskazując je jako przyczynę zbrojeń „nakazanych przezorności.“

W świetle bengalskiem zapewnień pokojowych przedstawia się groza położenia istotnie *sfinksowato*. Żadne państwo nie myśli o zaczepieniu drugiego, wszystkie odbywają istne gonitwy pokojowe, prześcigając się na torze europejskim w tym chwalebnym biegu o całą lub pół głowy konia — któż więc bić się będzie? Zmysł opinii publicznej powiada: znajdą się tacy, znajdą się żarłocznicy, goniący za cudzem, przywłaszczyciele narodów, uważający je za przedmiot własności i wyzysku, znajdą się zatwardziali sercem, którym przyjdzie łatwo igrać życiem i mieniem milionów dla zachcianek lub nawet kaprysów egoizmu indywidnalnego!..

Odwróćmy się z odrazą od bałwochwalstwa *siły przed prawem*, od położenia istotnie groźnego, bo naecechowanego hańbą upadku kultury i cywilizacyi.

„Parlament“ austryacki „robi“ na razie w reformach społecznych. Rozprawiano o wniosku Plenera, żądającym utworzenia „Izb robotniczych,“ która to instytucya miałaby zapewnić milionom „wydziedziczonych“ aż siedm krzeseł poselskich w c. k. uprzywilejowanej Radzie państwa! Jeżeli zważymy, że „liberalna“ ordynacya tej Rady — dzieło chwalebne tego samego stronnictwa, którego jednym z przewódzców jest właśnie wnioskodawca Plener — przypuszcza „kuryami“ do wyboru mniej więcej tylko 2.7% ogólnej ludności, podczas kiedy 97.3% pozbawiono wszelkich praw politycznych — musimy „dobre chęci“ p. Plenera uznać za ślimaczą ruchliwość na drodze reform społecznych, a nawet za wybieg, usiłujący środeczkiem tymczasowym zapobiedz dalej sięgającym zmianom, środeczkiem ciepłej wody, uśmiercającym zaprowadzenie powszechnego głosowania. Dlatego przyznać

POWIEŚĆ.

ZGUBIONE SUMIENIE

przez

M. Sałtykowa (Szczedryna).

Zginęło sumienie. Tłumy ludzi po dawnemu zalegały ulice, po dawnemu tłoczono się do teatrów, ścigano i prześcigiwano się wzajemnie, po dawnemu zaprzątano się kłopotami, chwytano kęsy w lot—a nikt nie spostrzegł, że nagle coś ubyło, że w ogólnej orkiestrze życia trąbka jakaś grać przestała. Wielu nawet czuło się dziwnie rzeźkimi i swobodnymi. Chód ludzki stał się zwawszym. Zręczniej podstawiano bliźniemu nogę, łacniej schlebiano, pełzano, oszukiwano i oczerniano. Wszelkie „bolączki,“ jakby ręką odjął; ludzie nie szli, lecz unosili się poprostu; nic ich nie zasmucało, nic nie budziło zastanowień: przyszłość i teraźniejszość — wszystko zabrali do niewoli ci ludzie, ci szczęśliwcy, którzy nie zauważyli nawet — utraty sumienia.

Sumienie zniknęło nagle... prawie w oka mgnieniu! Wczoraj jeszcze nieznośna ta pijawka migała przed oczami i trwożyła nieustannie podniecaną wyobraźnię, i nagle... nastała cisza! Pierzchły złośliwe widziadła i wraz z niemi ucichła moralna zawierucha, która wlokła za sobą brzemienne skargami sumienie. Nic pozostawało nic innego, jak spoglądać na świat boży i radować się; mędrcy świata pojęli, iż uwolnili się nareszcie od ostatniego jarzma, które krępowało swobodę ich ruchów i, rzecz naturalna, zabrali się skwapliwie do spożywania owoców tej swobody. Ludzi opętała zajadłość. Sypnęły się rabunki i rozboje, rozpoczęło się powszechne zniszczenie.

A biedne sumienie leżało tymczasem pośrodku drogi, poszarpane, oplute i stratowane nogami przechodniów. Każdy ciskał je, niby grat nieprzydatny, jak najdalej od siebie; każdy się dziwił, jak w porządnem mieście może się tarzać w oczach wszystkich takie ohydne szkaradzieństwo. I Bóg wie, jak długo tułałaby się biedna, wygnana istota, gdyby nie podniósł jej jakiś nieszczęśliwy pijaczyna, który pijackiemi oczami zapatrzył się na ten pomięty gałgan i podjął go w nadziei dostania zań gorzałki.

Nagle uczuł w sobie niby prąd elektryczny. Mętnemi oczami oglądał się wokoło i czuł najwyraźniej, że głowa jego uwalnia się od wódczanych oparów, że wraca mu powoli gorzka świadomość rzeczywistości, dla pozbycia się której strawił najlepsze siły. Z początku ogarnęła go jedynie bojaźń, owa głupia bojaźń, w jaką wprawia człowieka samo przeczucie niebezpieczeństwa, później zaszeleściła pamięć, przemówiła wyobraźnia. Pamięć bez miłosierdzia wyciągała z mroku sromotnej przeszłości wszystkie szczegóły gwałtów, zdrad, nikczemności serca i nieprawości; wyobraźnia oblekała te szczegóły w żywe kształty. Następnie mimowoli przebudził się sąd. Nędznemu opojowi cała jego przeszłość wydaje się jednem potwornem przestępstwem. On nie rozbiera, nie dziwi się, nie rozważa. Obraz upadku moralnego, jaki stanął przed jego wyobraźnią, tak go pognębia, że proces samopotępienia, któremu poddał się dobrowolnie, chłoszcze go bez porównania boleśniej i srożej, aniżeli najsurowszy sąd ludzi. Nie chce on wcale wziąć pod uwagę, że znaczna część przeszłości, za którą tak się przeklina, nie należy wcale do niego, biednego i nędznego pijaka, lecz do jakiejś tajemniczej, potwornej siły, która tak nim miota i obraca, jak wicher w stepie marną kruszyną. Czem jest jego przeszłość? Dlaczego przeżył ją w ten, a nie w inny sposób? Czem jest on sam? są to wszystko pytania, na które może on odpowiedzieć jedynie zdziwieniem i najzupełniejszą niewiadomością. Jarzmo organizowało jego życie; pod jarzmem urodził się; pod jarzmem zejdzie do grobu. Teraz, przypuśćmy, ocknęła się świadomość, lecz na co mu się ona przyda? Czyż przyszła po to, żeby niemiłosiernie stawiać zapytania i odpowiadać na nie milczeniem? Czy po to, ażeby zgubione życie waliło w spróchniały budynek, który nie może wytrzymać nawet jego przypływu?

należy wszelką słuszność dr. Kronawettero-wi, który w imieniu robotników zniszczył cały nimbus „wielkiego dzieła“ Plenerow-skiego, przedstawił je tem, czem jest, mianowicie jako „prawie nic,“ jednakże w końcu zastrzegł sobie, że będzie głosował za utworzeniem izb robotniczych dlatego, że — lepszy rydz, aniżeli nic.

Na tem samem stanowisku stanęli robotnicy lwowscy, którzy uchwalili podać prośbę do Izby poselskiej, popierającej utworzenie izb robotniczych i przesłać ją na ręce demokratycznego posła wiedeńskiego, dr. Kronawettera, ażeby on ją wniósł w „parlamencie,“ usprawiedliwiając ten ostatni krok tem, że w „Kole polskiem nie ma nikogo, ktoby się zechciał zająć szczerze sprawą robotników,“ że gdyby prośbę wysłali na ręce którego z członków Koła, zpewnością ugrzęzłaby po wieczne czasy w koszu autonomicznym szlachty galicyjskiej, dzierżącej ołowianą przewagę w tem gronie.

Smutny to zaisty objaw, ale niestety aż nadto uzasadniony!

Właśnie bowiem dało Koło polskie świeży przykład swoich dobrych chęci dla ludu pracującego. Na posiedzeniu z dnia 6 lutego — przypadek zdarzył, że to posiedzenie odbyło się o tej samej nawet godzinie, co wiec lwowskich robotników — stał na porządku dziennym rządowy projekt ustawy, ubezpieczającej robotników od wypadku choroby. Paragraf trzeci tego projektu mówi o robotnikach rolnych i leśnych, przyznając im również pewną część dobrodziejstw wynikających z ustawy. Szlachta Koła, u której właśnie ci robotnicy pracują ciężko o głodzie i chłodzie, często za dziennem wynagrodzeniem 20 a nawet 10 centów, przestraszyła się tego paragrafu. Czasy, mości dobrodzieju, złe, musiano zaprowadzić pewne oszczędności w toalecie żon, zaniechano nawet tu i owdzie podróży na sezon zimowy do Abazyi, Riviery lub Monako, w karty gra się znacznie niżej, a tu występuje na dobitek rząd z dziką pretensyą, żebyśmy ponosili ofiary dla jakiejś tam hołoty chłopskiej, która przecież za darmo nam nie pracuje! Znalazł się zaraz chór lokajów, który z dewocyą służalczą kiwał głowami i — ostatecznie załepiono nędzę robotników *plastrem autonomicznym* w ten sposób, że Koło polskie, stojąc niezachwianie przy swoim tronie, o autonomio, żąda, żeby sprawy objęte § 3 ustawy — ubezpieczenie robotników rolnych i leśnych na wypadek choroby — uregulowane były osobnemi ustawami krajowemi, co znaczy, że sejmom krajowym porucza się załatwienie tego kłopotu.

Więc sejm galicyjski będzie dobrodziejem robotników rolnych i leśnych. Łatwo sobie wyobrazić, jak on przy szlacheckiej przewadze hydrze łeb ukręci.

Tu pozwolimy sobie jeszcze uczynić uwagę, że istotnie piękną rolę porucza się autonomii krajowej. Wyzysk — „autonomia,“ tolerowanie przewagi kastowych interesów — „autonomia,“ system protekcyjny— „autonomia,“ dzika gospodarka „obszarów dworskich“ — „autonomia,“ dotkliwa przewaga buty pruskiej i półpańskiej — „autonomia,“ dwojaka miara sprawiedliwości — „autonomia,“ chłód i głód ludu — „autonomia,“ a przytem oburzenie „patryotyczne“ przeciwko każdemu, kto odmienne nieco posiada zapatrywanie, kto nie bije czołem przed zasługami mężów, będących filarami tej „autonomii,“ kto nie podporządkowuje się „pożytecznej pracy dla ogółu,“ jednem słowem, na hak z tym, kto nie jest służalcem systemu wyzyskiwania ogółu polskiego przez obszary dworskie pod płaszczykiem patryotyzmu, tradycyi i autonomii.

Quousque tandem?..

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niesłychaną energię rozwija rząd pruski, aby stanowczo przechylić szalę głosowania na swoją stronę. Oprócz krwawego zajścia w Szczecinie, o którem wiadomość, w zeszłym tygodniu podaną, uzupełnić winniśmy tem, że ranionych było 30 a zabitych 3, odbyły się liczne aresztowania socyalistów po różnych miastach, z innych powyganiano członków tego stronnictwa lub pokonfiskowano odezwy przedwyborcze. Przykład biskupa limburskiego, listem pasterskim powstrzymującego swych podwładnych od agitacyi przeciw siedmiolеciu, nie znalazł wprawdzie naśladowców, ale bez wrażenia nie przeszedł. W Poznańskiem bez ceremonii fałszowane są listy wyborcze z nazwiskami głosujących.

W Hesyi, w miasteczku Ofenbach, ogłoszono mały stan oblężenia. Prasa gadzinowa nie przestaje wykazywać możliwości wojny, wielkości uzbrojeń francuskich i obwiniać Boulangera za niepokój ogólny. Hr. Moltke z naciskiem ponownie określił teraźniejsze położenie polityczne, jako bardzo „poważne.“ Ks. Hohenlohe, namiestnik alzacki, w mowie do znamienitszych tej prowincyi mieszkańców, oznajmił, że zrównanie praw ich z prawami ogółu obywateli cesarstwa nastąpić może tylko w razie zaniechania myśli złączenia się z Francyą napowrót, a jednym z dowodów takiej zmiany byłby wybór posłów za siedmioleciem głosujących; niebezpieczeństwo zaś ze strony Francyi wtenczas dopiero zniknie, kiedy sąsiad zachodni stanowczo poprzestanie na dzisiejszych wschodnich granicach. Nakoniec prasa rządowa roznosi i po swojemu objaśnia listy kardynała Jacobiniego. Ponieważ to wszystko mogłoby nie wystarczyć, więc na parę dni przed wyborami podobno ukaże się odezwa cesarska, mająca wpływać na wyborców. Czy przeciwnicy siedmiolecia, mający przed rozwiązaniem Izby przewagę blizko 80 głosów, nie znajdą się po użyciu tych wszystkich środków w mniejszości? Niedalekie jutro odpowie. Zwerbowanie 40 głów już rządowi wystarczy. Na co Bismarkowi siedmiolecia potrzeba? Liczne głosy utrzymują, że cała ta kwestya była tylko pozorem, w gruncie zaś chodziło kanclerzowi o uzyskanie Izby powolniejszej. Wolno wszakże nie dowierzać takiemu przypuszczeniu. Pocóż w takim razie listy z Rzymu, przesyłane jeszcze za istnienia Izby poprzedniej, a do głosowania na korzyść projektów wojskowych zachęcające? Żelazny książe istotnie siedmiolecia potrzebuje. Windthorstowi tłomaczył, że za 7 lat już sam żyć nie będzie, następcy swemu zatem pragnie zostawić armię gotową na wszelki przypadek. A wszak nietylko o swego spadkobiercę mogło kanclerzowi chodzić. Niejednokrotnie prasa powtarzała pogłoski o możliwej abdykacyi sędziwego Wilhelma na rzecz niemłodego już także następcy tronu, jakoteż o niezupełnej zgodności zapatrywań tego ostatniego i uczciwego meklera. Siedmiolecie byłoby albo przysługą zawczasu oddaną, albo wprowadzeniem przyszłego władcy na tory polityki dotychczasowej, z których zejść potem już by mu było trudniej, niżeli gdyby odrazu nie wchodził na nie.

Francuska Izba deputowanych uchwaliła zaprowadzenie podatku dochodowego, a komisya konkordatowa Izby przyjęła wię-

---

Niestety, zbudzona świadomość nie przynosi mu ani ukojenia, ani nadziei, a wskrzeszone sumienie widzi tylko jedno wyjście— bezowocne samooskarżanie. Przedtem rozciągała się naokoło mgła, teraz również rozciąga się mgła, zapełnia się ona tylko dręczącemi widziadłami; przedtem brzęczały na rękach ciężkie kajdany, teraz brzęczą te same kajdany, tylko że ciężar ich podwoił się, ponieważ człowiek pojął, że są to kajdany. Leją się daremnie potoki łez pijackich, zatrzymują się przed nim miłosierni ludzie i utrzymują, że to wódka w nim płacze.

— O dobrodzieje! Nie wytrzymam... dławi mnie! — wrzeszczy na cały głos biedne pijaczysko, a tłum śmieje się i szydzi z niego. Nie rozumie on, że pijaczysko nigdy może nie był tak wolny od wódczanych oparów, jak w tej oto chwili, że zyskał poprostu nieszczęśliwy nabytek, który mu biedne serce rozdziera na kawałki. Gdyby ci ludzie sami zrobili to odkrycie, pojęliby niezawodnie, iż nie ma na świecie okropniejszej boleści nad boleść nagle pozyskanego sumienia. Zrozumieliby oni, że zarówno oni są tłumem ujarzmionym i duchowo oszpeconym, jak ujarzmionym i moralnie skażonym jest wrzeszczący przed nimi pijak.

— Nie, trzeba ten sprzęt gdzieś spuścić, inaczej przepadnę z kretesem — powiada sobie biedny pijak i już chce rzucić go na środek drogi, gdy nagle zagradza mu ją policyant.

— Czy to, bratku, zachciało ci się podrzucać paszkwile — powiada do niego, grożąc palcem — za to w cyrkule posiedzieć możesz!

Pijak chowa zwinnie swój sprzęt do kieszeni i oddala się z nim. Oglądając się i skradając, idzie do karczmy, w której prowadzi handel jego dobry znajomy Prohorycz. Zagląda naprzód cichutko przez okno i widząc, że Prohorycz sam jeden drzemie za bufetem, otwiera raptownie drzwi i zanim Prohorycz zdołał się opamiętać, nieszczęśliwy przedmiot już się znajduje w jego ręku.

—o—

Przez pewien czas Prohorycz stał z wytrzeszczonemi oczami, ale nagle oblał się cały potem. Uroiło mu się, nie wiadomo dlaczego, że handel swój prowadzi bez patentu, lecz rozejrzawszy się w izbie, zobaczył, że wszystkie patenty — białe, niebieskie i czerwone są w zupełnym porządku. Spojrzał na gałgan, który trzymał w ręku, i zdało mu się, że gałgan ten jest mu znajomy.

— Aha! przypominam sobie — to przecież ten sam gałgan, którego gwałtem pozbyłem się, zanim patent kupiłem, tak, to ten sam.

Upewniszy się w tem mniemaniu, wywnioskował, nie wiadomo dlaczego, że czeka go teraz niechybna ruina.

— Kiedy człowiek zajęty jest interesem i takie brzydactwo przylgnie do niego — niechaj powie sobie: przepadło! Żadnego tu interesu być nie może i żadnego nie będzie — rozumował on prawie machinalnie; zatrząsł się cały i pobladł, jakby mu w oczy zajrzał strach nieznany.

— A jak to brzydko rozpajać biedny ludek! — szeptało zbudzone sumienie.

— Żono moja! Aryno! — krzyknął Prohorycz, tracąc ze strachu przytomność.

Przybiegła Aryna i zaledwie ujrzała, jaki mąż jej zrobił nabytek, wrzasnęła nieludzkim głosem:

— Stójkowy! pomocy! rabują!

— I cóżem ja zawinił, że przez tego łajdaka wszystko naraz stracić muszę? — myślał sobie Prohorycz, mając widocznie na myśli pijaka, który mu wsunął fatalny przedmiot. A grube krople potu występowały mu wciąż na czoło.

Tymczasem karczma zapełniała się powoli ludem, ale Prohorycz, zamiast ze zwykłą uprzejmością częstować gości, nie tylko oparł się nalewaniu wódki, ale z wielkiem wzruszeniem dowodził, że w wódce tkwi źródło wszelakiej biedy i niedoli człowieka.

— Gdybyś ty, bratku, jeden kieliszek wypił, toby nic nie szkodziło—owszem, byłoby to nawet dobre! — mówił przez łzy — ale ty byś zaraz całe wiadro schlupał! I cóż

kszością 11 głosów przeciw 9 oddzielenie kościoła od państwa. Uzbrojenia francuskie prowadzone są nieustannie. Z Algeryi, podług *Kreuzztng.*, wezwano czwarte bataliony 12-go korpusu. Po obu stronach granicy prusko-francuskiej stoi po 270 do 300 tysięcy wojska.

Przesilenie ministeryalne włoskie dotąd się nie ukończyło. Tymczasem za kilka miesięcy upływa traktat między Niemcami, Austryą i Włochami, poręczający wzajemnie całość terytoryalną. O istnieniu tej umowy Europa obecnie dopiero dowiedziała się z włoskiej *Opinione*. Przypuszczają, że Robillant obejmie napowrót tekę spraw zagranicznych, aby doprowadzić do skutku odnowienie umowy. Państwa środkowo-europejskie usilnie sobie tego życzą. Gdyby przeciwnie, opozycya przyszła do władzy, Włochy może przychyliłyby się ku Francyi. Z Massawy donoszą o nowej klęsce, zadanej przez abisyńczyków. Kilka oddziałów posiłkowych włoskich już tam odpłynęło.

W sprawach bułgarskich ciągle ciemności. O jakichś układach z Cankowem, o jakichś rozruchach to w Dobrudży, to w Macedonii, to w Ruszczuku donoszą depesze, aby wciąż przypominać tę „odrobinkę.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

O UBEZPIECZENIU PRACY.

I.

W Radzie wielkiej kantonu genewskiego toczą się w chwili obecnej obrady nad kwestyą, której interes wychodzi daleko po za jego granice. Tyczą się one ważnej sprawy, mianowicie: ubezpieczenia pracy przeciwko wypadkom, pozbawiającym robotnika ciągłości owoców, dostarczających mu sposobu do życia. Ciekawem jest w wieku naszym zjawisko zainteresowania się sprawą, która praojców naszych nie obchodziła zgoła. Praca? Czy zajmowała ona prawodawców dawniejszych? Zajmowała, ale bardzo miernie. Udzielano jej protekcyi. Zaszczycano ją pochwałami. Brano ją w obronę w tym mniej więcej tonie, w jakim śpiewał Kazimierz Brodziński: „Rycerz to nie wielki — ojczyźnie ubliża — który nad stan wszelki — rolnika poniża.“ Zaś jeszcze dawniej i tego nie czyniono. Zachodzi przeto pytanie: jakim sposobem dawniejsza względem pracy obojętność zmieniła się w czasach naszych na żywe, jedno z najważniejszych, jeżeli nie na najważniejsze tym przedmiotem zajmowanie się?

Zdaniem naszem pytanie to pozostaje w prostym do pojęcia istoty państwa stosunku. Dużo, bardzo dużo czasu upłynęło, zanim postawiona być mogła ważna kwestya: „Czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa?“ W pierwotnych uspołecznienia chwilach mowy o tem nie było — nikomu nic podobnego na myśl nie przychodziło. Państwo stanęło, jak czyn dokonany, tak, jak stoją lasy, góry, jak świeci słońce, jak się zbierają chmury i strzelają piorunami — nie zdając sprawy z istnienia własnego przed nikim i przez nikogo nie będąc o racyę istnienia pytane. Stanęło i stało długo, urabiając sobie powoli aparat zbrojny, działający na wyobraźnię, najpierwszą z władz umysłowych, co się w ludzkości obudziła. Tłumy na twarz padały przed czubami z pawich piór i przed pałkami, nabitemi krzemieniem. I, nosy na usługi tabakiery bezwzględnie i bezwarunkowo oddając, o nic nie pytały. Trwało to wieki, aż nastał czas świtania myśli. Słyszeć się dało poszeptem zrazu wymawiane zapytanie: „Dlaczego?“— stosowane zarówno do lasów i gór, do słońca, do chmur i piorunów, jako też do państwa. Wyobraźnia przemagała; odpowiedź wypaść musiała zaznaczona jej naciskiem. Uznano, że wszystko, co stoi, krąży, widzieć, słyszeć i uczuwać się daje, jest dziełem Stwórcy, że państwo jest pochodzenia bożego, że zatem społeczeństwo, które się tymczasem uformowało, istnieje dla wytworu tego, przewyższającego wytwory inne tem, że czubom i pałkom nadawać umie kształty rozmaite i użytek dotykalny. Usprawiedliwiało to bardziej aniżeli dostatecznie istnienie jego; nos się uznawał z początku niewolnikiem, następnie poddanym tabakiery i na jej korzyść szła wszelaka praca, jaka się w społeczeństwie odbywała — nos się raz kurczył, znów przedłużał, krzywił, marszczył, stosownie do woli, niekiedy zaś i fantazyi, przystrajającej ją w klejnoty kosztowne a domagającej się poświęceń. Na rachunek tych ostatnich szła praca bez rachuby i bez względów najmniejszych. Wreszcie myśl nad wyobraźnią przeważać zaczęła, wejrzała w istotę rzeczy krytycznie i dosyć prędko wyrobiła sobie to przeświadczenie, że tabakiera jest dla nosa.

Zapytanie, tyczące się tabakiery, zadane przez biskupa Krasickiego, służy do wytłomaczenia racyi, dla której dawniejsza względem pracy obojętność ustąpiła w czasach obecnych żywemu zajęciu, jakie sprawa jej budzi wogóle, od chwili zwłaszcza, jak pod naciskiem rozwoju pojęć zmieniły się stosunki społeczne i pociągnęły za sobą zmianę warunków ekonomicznych. Dawniej pracę, czynnik w społeczeństwie najpotrzebniejszy, trzymano w karbach niewoli i poddaństwa i troszczono się o to jeno, ażeby wydobywać z niej wszystko, bez czego by się ustrój państwowy nietylko obyć nie mógł, ale co do zbytków służyło. „Ściągnij chłopa przez plecy nahajką, a on ci zegarek zrobi“ — powiadano. Tego rodzaju ustrój ustąpić musiał i ustąpił, ale usuwając od pleców pracy nahajkę, nie zabezpieczył jej przed wyzyskiem. Znalazła się ona oko w oko wobec kapitału, potęgi, która pomiędzy nią a państwem zajęła stanowisko „pośredniczki bezinteresownej,“ trzymającej w zależności i żyłującej zarówno i państwo i ją. Stąd, z konieczności rzeczy, wywiązały się nieporozumienia i powikłania, które się wyrażały pod postacią teoryj częstokroć sensu pozbawionych i zamachów nierzadko chorobliwych. Jednakże z teoryj tych i zamachów wyłania się rzecz jedna, ściśle racyonalna i zupełnie sprawiedliwa, a mianowicie: domaganie się ze strony pracy ubezpieczenia, będącego żywotnym państwa interesem. Sprawa pracy, na równi ze sprawami obchodzącemi ogół, w krajach różnych wytaczaną była przed forum parlamentarne nie raz i nie razy dziesięć.

Bogatym jest materyał do historyi parlamentarnej obrad w kwestyi pracy. W Anglii, we Francyi, w Belgii, w Szwajcaryi, we Włoszech, w Niemczech materyi tej dotykano z rozmaitych punktów widzenia i rozbierano ją w szczegółach. W sposób ten powstały i zastosowanie znalazły prawa, określające stosunek pracodawcy do robotnika, a mające na celu ubezpieczenie losu tego ostatniego za pomocą zasłonięcia go przed nadużyciami wyzysku. Trudne to do rozwiązania zadanie ze względu na to szczególnie, że do rozwiązywania przystępują trzy potęgi — wszystkie trzy jednakowo zainteresowane: państwo, kapitał i praca. Pierwsze uzależnionem jest od drugiego,

---

z tego? Zaciągną cię zaraz do cyrkułu, w cyrkule wlepią ci kilkadziesiąt batów: później wyjdziesz na ulicę, jakbyś jaką nagrodę otrzymał. A całą nagrodą było sto batów. Pomyśl więc, miły przyjacielu, czy warto się o to starać i w dodatku płacić takiemu jak ja durniowi pracą zdobyty grosz!

— Cóż to, musiałeś zmysły postradać — pytają zdumieni goście.

— Zwarjujesz i ty bratku, jak ci się taka „okazya“ trafi! — odpowiada Prohorycz. Spójrz lepiej, jaki ja sobie patent wykupiłem!

Prohorycz pokazywał wszystkim wsunięte mu do rąk sumienie, pytając, czyby który z gości nie chciał go nabyć. Ale goście, dowiedziawszy się, co to takiego, nietylko żadnej nie okazali chęci, ale usuwali się trwożliwie i oddalali jak najszybciej.

— Otóż to mi patent! — dodawał ze złością Prohorycz.

— Cóż teraz robić będziesz? — pytali go goście.

— Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć. Oszukiwać teraz nie mogę, ludu rozpajać nie chcę, cóż ja teraz począć mam, jeżeli nie umrzeć?

— To mi racya! —śmieli się z niego.

— Powiem nawet więcej: trzeba wszystkie te statki porozbijać, a wódkę wylać do rynsztoka; kogo bowiem raz taka cnota opadła, temu sama woń spirytusu może wnętrzności przewrócić!

— Tylko mi się waż! — wtrąciła nareszcie Aryna, której serca nie oblały snać promienie łaski, zesłanej nagle na Prohorycza: — patrzcie go, jaką cnotę wymyślił.

Ale Prohorycza niepodobna już było pohamować. Zalewał się gorzkiemi łzami i wciąż prawił, wciąż prawił.

— Bo — mówił — kogo raz takie nieszczęście spotkało, ten już wiecznie nieszczęśliwym być musi. Nie śmie on powziąć o sobie jakiegokolwiek zdania, że jest kupcem lub kramarzem. Będzie to tylko daremny niepokój. Powinien powiedzieć o sobie tak: jestem nieszczęśliwym na tym świecie człowiekiem — i niczem więcej.

W ten sposób przeszedł mu na filozoficznych ćwiczeniach dzień cały i chociaż Aryna oparła się stanowczo zamiarowi męża, aby statki porozbijać i wódkę wylać do rynsztoka — wszelako przez cały ów dzień nie sprzedano ani kropli wódki. Ku wieczorowi Prohorycz rozweselił się nawet i kładąc się do łóżka, rzekł do płaczącej Aryny.

— Widzisz, duszko moja, najdroższa moja żoneczko, chociaż nic dziś nie odłożyliśmy, ale gdybyś wiedziała, jak człowiekowi lekko na sercu, gdy czuje w sobie sumienie.

Rzeczywiście, ledwie się położył, zaraz zasnął, podczas snu zaś nie rzucał się i nie chrapał, jak przedtem bywało, kiedy zgarniał pieniądze, a sumienia nie miał.

Ale Aryna cokolwiek inaczej się na tę rzecz zapatrywała. Rozumiała ona dobrze, że sumienie w interesie szynkownianym nie jest bynajmniej takim nabytkiem, od którego spodziewać by się można jakiegoś zysku; postanowiła zatem za jakąbądź cenę pozbyć się natręta.

Stłumiwszy w sobie gniew, przeczekała noc całą, ale zaledwie światło dzienne przedzierać się zaczęło przez zakurzone szyby karczmy, Aryna wykradła mężowi sumienie i jak szalona wybiegła z niem na ulicę.

Właśnie tego dnia był jarmark; chłopi ze swymi wózkami ściągali z pobliskich włości i strażnik Łowczy wybrał się osobiście na jarmark, ażeby pilnować porządku. Zaledwie Aryna spostrzegła śpieszącego Łowczego, w głowie jej błysnęła myśl szczęśliwa. Pobiegła za nim i dopędziwszy go, natychmiast z zadziwiającą zręcznością wsunęła mu cichutko do kieszeni palta nieszczęśliwe sumienie.

—o—

Łowczy nie był człowiekiem zupełnie bezwstydnym, ale żenować się nie lubił i zapuszczał łapę dosyć swobodnie. Powierzchowność miał nie tyle bezczelną, ile, że tak powiem, czyhającą. Ręce jego były niezmiernie zagrabiaste i zagarniały wszystko, co spotykały po drodze. Słowem, był to hultaj porządny.

Naraz człowiek ten zaczął uczuwać jakiś niepokój.

drugie zaś siły swoje czerpie w trzeciej i okazuje skłonność do bezwzględności, która zagraża pierwszemu. Kapitał, jakeśmy zaznaczyli powyżej, pełni funkcyę pośrednika, bez którego obyć by się ani państwu, ani pracy nie sposób, pomimo że nad usunięciem pośrednictwa tego, nawskróś interesownego, pracuje od lat wielu mocnych i słabych głów tysiące. W rozprawach parlamentarnych on rej wiedzie. Dzięki jemu środki, mające na celu ubezpieczenie pracy od wyzysku, okazują się częstokroć albo połowiczne, albo też wprost celu chybiające. Rozpraszają się one pomiędzy szczegóły takie, jak np. oznaczenie ilości godzin pracy, praca kobiet i dzieci, wymiar zapłaty, prawowitość zmów, doniosłość umów itp., dotykając z boku jeno lub w punktach pewnych ogólnego położenia robotnika, będącego źródłem głównem, z którego państwo zasoby na utrzymanie bytowania własnego czerpie. Ogólne położenie izby prawodawcze pomijały — zdalcka je obchodziły. Bezpośrednio dotknęła go kwestya, znajdująca się obecnie na porządku dziennym w Radzie Wielkiej genewskiej.

Sprawa ta nie po raz pierwszy i nie w pierwszej Genewie przed parlamentem się jawi. Dotykano jej już w Paryżu i Berlinie; w Bernie Rada związkowa ma ją zanotowaną i podkreśloną. W Genewie wniósł ją jeden z deputowanych, profesor uniwersytetu, p. Favon, studyujący specyalnie sprawy społeczne i będący jedną z osobistości wydatnych w stronnictwie, w którego ręku w chwili obecnej władza spoczywa. Ze względu na to głos jego uważać można za głos interesu państwowego, domagającego się dla robotnika ubezpieczenia ogólnego.

(D. n.)

T. T. Jeż.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z ZACHODU.

V.

Francya zwyrodniała i Francya radykalna. — W obozie socyalizmu.

Dzienniki madryckie z d. 19 stycznia b. r. opowiadają rzewne wydarzenie. Dzień był ciepły, południową porą świegotały w złoconych klatkach do jasnego nieba kanarki. Nagle ku jednej klatce przypadł jastrząb — było to na Calle Mayor — i nim na skargi żółtopiórego pieszczocha przybiegła zrozpaczona pani, uczepiwszy się kraty, rozszarpał go, uniósł głowę, a biedne ciałko zostawił na politowanie i zabobonną trwogę żałobnej gawiedzi.

Rzymianie z podobnych temu drobnych zdarzeń wróżyli o losach narodów. Cóż znowu *fata* gotują ludzkości? Czy które państwo sąsiad rozedrze na strzępy? Być może; wszak jednemu już wróżono, a choć to szaleństwo, same wyrazy: „rozbiór Francyi,“ wypowiedziane ustami kanclerza niemieckiego szyderczo, cynicznie, jak niegdyś groźba wywłaszczenia polskiej szlachty, świadczą o możebności takiej rzeźniczej sztuki. Rębacz to straszny w swej pewności siebie, bo zapowiada, nim uderzy, i okrutny w swej słowności. A nie stanie się to dziś, stanie się po latach, kiedy ludność Francyi zmniejszy się do połowy, spalona alkoholem, lub wytrzebiona zastosowaniem teoryi Maltusa, który drżał, że ziemia nie wyżywi gąb zbyt wielu. Jakie spustoszenia zrządza francuski absynt, kto widział w nocy tawernę w mieście portowem — ten pojmie, a zrozumie też przyczynę ubytku ludności, kto podpatrzył tajemnice małżeńskiej alkowy. Prawda to niezachwiana, że chleb, rozdzielany na mniejszą ilość gąb, nasyca je dostateczniej; prawda, że liczne potomstwo już błogosławieństwem dziś się nie nazywa; ale taki wyrafinowany sposób uwygodniania bytu szedł zawsze w parze z upadkiem. Człowiek na niskim stopniu kultury nie hamuje zachceń płciowych, a oszukiwać ich nie umie i nie śmie, bo mu tego zakazuje przyrodzone i boskie prawo; familia rośnie, a ubóstwo prze ku podbojom i kolonizacyom. Fatalnością natury naród jest silny, póki biedny — o ironio! — póki nie zaznał wszystkich cywilizacyi błogosławieństw. Niemcy dla wsparcia skupionej ludności i powiększenia dobrobytu kolonizują cudze gniazda; ni się dziwić temu trzeba, ni gniewać. Nie dać się. A jeżeli sił nie stanie — nienawidzieć; naród żyje, póki nienawidzi. Już tak jest...

Niemcy rosną, bo myliłby się, ktoby sądził, że ich kultura stanęła u szczytu. Postęp dąży do wyzwolenia indywidualnego, do uwygodnienia życia. A w Niemczech lud nie stracił instynktów monarchicznych; rodzina zachowała ustrój patryarchalny; umiejętność nie była nigdy utylitarna; obyczaje pozostały grubsze, stąd i zepsucie nie zniszczyło do tyla pierwiastków żywotnych.

Kiedy więc postęp przyniósł tę świętą w sobie prawdę, że dążeniem ludzkości winien być pokój, swoboda i miłość sąsiadów na zewnątrz, co wyklucza podboje i wojny, zaś umilenie sobie gorzkiego bytu wewnątrz kraju, co jest zawarowane owem ograniczeniem liczby gąb — wtedy niestety zaczyna się upadek. Nie następuje zaraz. Czas jakiś literatura, sztuka, język wpływają przyciągająco na żywioły obce, które wchłaniane odżywiają i krzepią niknące siły; dość obserwować, ile nazwisk obcych wykazują dzisiaj rodziny francuskie. Nareszcie sąsiednie ludy rosną w swej oświacie, zaczynają asymilującym wpływom opierać się coraz mocniej, nabywać coraz potężniejszego samopoznania; tak już francuszczyzna przestała być modną w Niemczech, we Włoszech równie grunt traci. Nasiąka nią za to bardziej upadła Hiszpania. Konkurencya zagranicy zaczyna zabijać przemysł francuski, a nieubłagane cyfry wołają: ludność Niemiec wzrasta rocznie o 400 tysięcy, Francyi tylko o 100 tysięcy; może i one wypisała statystyka przez różową kalkę...

Nim jednak doczeka Francya zaszczytnego losu Grecyi, zechce pewno przedstawić światu eksperyment Rzeczypospolitej socyalnej. Konsekwencya przymierzania ustawicznie nowej formy rządu zdaje się przeć ją ku temu. Socyalizm też, istniejący tu w Marksowskiej formie ledwo od r. 1876, wzmógł się ogromnie ustawiczną propagandą. Ten wzrost żywiołów rewolucyjnych tłomaczy się faktami wykrytymi przez Drumonta w znanym pamflecie: „Francya żydowska,“ a streszczającymi się w zdaniu: „Francya, jeden z najbogatszych krajów na świecie, ma coraz mniej bogatych, a coraz więcej ubogich“ — zręczne określenie niesłychanej centralizacyi kapitałów. Autor drażni zaraz na początku nienawiść socyalną wykrzykiem: „Familia Rotszyldów posiada 3 miliardy na samą gałąź francuską, a przecież nie uczyniła żadnego wynalazku, nie odkryła żadnej miny, nie wykarczowała piędzi ziemi; te 3 miliardy dobyła z francuzów, nie dawszy im w zamian nic. (A! myli się. Baron James Rotszyld wydał jeden tekst starofrancuski... zapewne z pomocą biegłych). Potworne projekty Drumonta nie mają żadnej wartości praktycznej. „Cze-

---

Przyszedł na plac jarmarczny. Tu zdaje mu się, że wszystko, co tam rozłożono: na wozach, na straganach i w sklepach — że to wszystko jest nie jego, lecz cudze. Niczego podobnego dotąd nie doświadczał. Przetarł sobie bezwstydne oczy i myśli: czym ja oszalał, czy to mi się tak we śnie roi? Przystąpił do jednego wozu, chce łapę zapuścić, a tu łapa nie podnosi się; zbliżył się do drugiego wozu, chce chłopa za brodę wytargać — lecz, o biada! ręce wyciągnąć się nie chcą!

Przeląkł się.

— Cóż to się ze mną stało?— myśli Łowczy. Wszak w ten sposób ja sobie na przyszłość całą sprawę zepsuję. Czyż nie lepiej, póki czas, do domu wracać?

Jednakże, może to przejdzie—pomyślał sobie. Zaczął się przechadzać po placu — spogląda, leżą tam różne artykuły żywności, rozliczne materye — wszystko to zdaje się mówić do niego: chociaż stoisz blizko, nic jednak nie zdybiesz.

Chłopi tymczasem ośmielili się. Widząc, że Łowczy osłupiał, że zamyka oczy na swoje dobro, poczęli stroić żarty i nazywać go po imieniu.

— Nie, mnie dziś choroba jakaś opętała! — zadecydował Łowczy, i tak bez łupów z pustemi rękami ruszył do domu.

Łowczyni czeka na męża i myśli sobie: ile też mój drogi mężulek przyniesie mi dzisiaj paczuszek? Aż tu — żadnej! Trzęsąc się więc od gniewu, przypadła do męża, obrzucając go pytaniami:

— Gdzieżeś podział paczki?

— Świadczę się sumieniem... — zaczął Łowczy.

— Gdzie masz paczki?! — pytam.

— Świadczę się sumieniem...—znów powtórzył Łowczy.

— Więc karm się na obiad sumieniem do następnego jarmarku, a ja nie mam dla ciebie obiadu! — postanowiła Łowczyni.

Opuścił głowę, gdyż wiedział, że żona ma serce twarde. Zdjął z siebie palto — i nagle jakby się cały przeistoczył! Ponieważ sumienie wraz z paltem zostało na wieszadle, poczuł w sobie na nowo niezmierną rzeźkość i lekkość i znowu mu się zdało, że nie ma na świecie nic cudzego, lecz że wszystko jest jego. Zdolność pochłaniania i zagrabiania zbudziła się w nim na nowo.

— No, teraz, bracia mili, nie wykręcicie mi się — rzekł Łowczy i śpiesznie wkładał palto, by na skrzydłach sokoła polecić na jarmark.

Ale, o dziwo! zaledwie włożył palto, już zaczął się kurczyć. Rzekłbyś, że siedzą w nim dwaj ludzie — jeden, bez palta — bezwstydny, łapczywy, długoręki; drugi, w palcie — bojaźliwy i nieśmiały. Ale jakkolwiek czuje, że nim przestąpił próg, już spotulniał, zamiaru swego udania się na jarmark nie porzuca. A nuż, przezwyciężę się — powiada sobie.

Ale im bardziej zbliżał się do jarmarku, tem silniej biło w nim serce, tem natarczywiej występowała chęć pojednania się z tym biednym ludkiem, który śród deszczu i słoty boryka się przez dzień cały o parę marnych groszy. Nie myśli już Łowczy o świeżych nabytkach, własny jego woreczek z pieniędzmi ciąży mu ołowiem, jak gdyby dowiedział się z wiarogodnego źródła, że w tym woreczku leżą nie jego, lecz cudze pieniądze.

— Masz oto przyjacielu 15 kopiejek — rzecze do jednego chłopa, dając mu kilka monet.

— Za cóż to, panie?

— A za dawną krzywdę, przyjacielu, przebacz mi, w imię Chrystusa.

— A, Bóg ci przebaczy.

W ten sposób obszedł cały jarmark i rozdał wszystkie swoje pieniądze. Jakkolwiek po spełnieniu tego czuł, że mu na sercu zrobiło się lekko, mocno się jednak zamyślił.

— Nie, dziś mnie jakaś choroba dotknęła — rzekł on znowu do siebie — lepiej już wrócę do domu, a po drodze zabiorę jaknajwięcej żebraków i nakarmię ich w domu.

Nabrał po drodze niezliczoną chmarę żebraków i sprowadził ich do siebie na dziedziniec. Gdy Łowczyni ich obaczyła, stanęła jak wryta, czekając, jakiego jej mąż jeszcze figla wypłata. Tymczasem Łowczy prze-

mużby — mówi — jaki chrześciański książe, głowa państwa, z pojęciami stanowczemi i szerokiemi, poglądający na kwestyę miast z poziomu komunałów — twarzą w twarz, nie miał skonfiskować dóbr żydowskich? Czemużby tak stworzonymi posiłkami nie miał pozwolić robotnikom doświadczenia teoryj eksploatacyi zbiorowej i bezpośredniej fabryk i przemysłowych warsztatów?“ Oblicza następnie majątki żydowskie na 80 miliardów, które po zrelizowaniu mogą dać do 15 miliardów na cele owych „doświadczeń.“ Coś podobnego mogli wymarzyć jeno anarchiści, którzy są, jak wiadomo, najmniej szanowną i szanowaną partyą rewolucyonistów. Rewolucya socyalna gotuje się bez wątpienia; o sile socyalistów świadczy te 100 głosów, zgromadzonych około kandydata Duc-Quercy'ego przy ostatnich wyborach; świadczy gorączkowy ruch, pewność i śmiałość, z jaką naczelnicy stawiają swoje żądania. Nie przesądzając więc częściowych zwycięztw idei zbiorowości, nie wdając się w obliczanie prawdopodobieństwa ideału socyalizmu, jakim jest komunizm, chcę jeno ze stanowiska lingwisty zaznaczyć trudność, co mówię — niepodobieństwo urzeczywistnienia pewnych mrzonek Marksa. Pomysł jego, wykluczający pojęcie ojczyzny, stawiający nienawiść klas: pracującej i niepracującej na miejscu nienawiści rasowej, jakże zamieni się w czyn dzisiaj, kiedy narodowości zaczynają rozgraniczać się tak ostro, kiedy dopiero co obudziła się tak gwałtowna nienawiść słowianina do niemca, kiedy we Włoszech *tedesco* budzi odrazę, a w południowej Francyi robotnik krajowiec patrzy z zawiścią na odbierającego mu chleb cudzoziemca, nadto kiedy wraz z podniesieniem się badań języka i literatury dźwigają się w poczuciu odrębności dyalektycznej, czesi, rusini, słowieńcy, bułgarzy, duńczycy, irlandczycy, prowensalczycy, katalani itd. itd. Ruch ten zaczął się niedawno; kiedyż się skończy, aby ustąpić miejsca świętemu pokojowi i powszechnemu ludów braterstwu? Powiadają socyaliści, że środki komunikacyi XIX wieku mieszają i zacierają odrębności plemienne. Wielki fałsz: na granicy włoskiej prawie już słowa niemieckiego nie usłyszysz, a jeśli cofniemy się do wieku XII i XIII, spostrzeżemy wtedy właśnie pomieszanie narodowości w pasach granicznych tak ścisłe, że aż powstawały zeń nowe narzecza — jak np. gwara franko-italska. Dziś jest zupełnie inaczej. Potem, zatarcie narodowych odrębności zacząć się może jedynie od gleby; rdzeniem narodu jest zawsze lud. U nas Jeż, Zola we Francyi chce wpoić lub widzi w chłopie instynkta socyalne; ha, namów no chłopa na Kujawach, aby z niemcem na jednym kawałku ziemi pracował.

Gdzież dopiero zaliczyć utopie anarchistów, utopie doskonałej ludzkości, dla której nie będzie trzeba rządu, ni praw, gdyż nauczy się wykonywać dobro dla dobra samego. St. Simon i Fourier nie byli humanitarniejsi; jak się to przekształcenie odbyć ma? Wszak nie tak, jak się śpiewa w kupletach Karmanioli, ani tak, jak radzi lwiogrzywia dziewica.

Wejść między socyalistów, podpatrzeć familię, ambicye, niesnaski, a najpiękniejsze i najracyonalniejsze teorye wydadzą się od celów swych bardzo dalekie. Ot, przykład śmieszności. Jedna z pierwszorzędnych socyalistek, „kobieta wojująca“ z partyi „guesdystów,“ istota zacna, lecz egzaltowana, wychodzi po śmierci pierwszego męża za anarchistę, brutala, człowieka, jak sama twierdzi głośno — z instynktami występnymi. Nieskończenie odeń wyższa inteligencyą, czyni go sługą, niewolnikiem, którym się pomiata wobec dzieci, wyszydzając jego teorye i umysłowe niedołęztwo. Cała rodzina — ciekawy przedmiot do psychologicznego studyum. Dzieci wychowane, choć bez Boga i księdza, co prawda, moralnie; może też pomógł tam prawem spadku charakter matczyny—ale z przesadną czułością i idealizmem, z zupełną nieznajomością świata i ludzi, która dobre dziewczątka odda na łup pierwszemu handlarzowi wzniosłych frazesów.

Braterstwo! Cała historya socyalizmu jest historyą ścierania się różnych ambicyj samolubnych. W Niemczech Internacyonał, to walka Marksa z Bakuninem, skończona rozerwaniem związku w r. 1872; we Francyi w najjaśniejszej chwili stworzenia partyi robotników w r. 1879, ułożenia dla niej programu urzędowego i zatwierdzenia go przez całą partyę kollektywistów, niszczy dzieło Guesde'a Brousse, człowiek chciwy, zawistny, w postępowaniu nieszlachetny, o życiu prywatnem nie wspominając. Teraz znowu d. 1 lutego b. r. wybuchł nowy zatarg w łonie socyalistów zgromadzonych wreszcie wpływem Rocheforta pod jednym sztandarem i reprezentujących w dzienniku *Cri du Peuple* wszystkie swe odcienie. *Cri du Peuple*, założony przez Juliusza Valésa, przeszedłszy po jego śmierci na własność pani Severine, posiadał ostatnimi czasy w redakcyi swej najlepsze siły: Z „guesdystów“ Guesde i Deville; z „possybilistów“ (partyi założonej przez Brousse'a) Demay; z „blankistów“ Goullé; z anarchistów Elizeusz Reclus i Krapotkin; z niezależnych Duc-Quercy, Basly i Camelinat. Od kilku miesięcy nurtowała tam niezgoda wskutek niemiłego redaktorom, a miłego właścicielce żywiołu, p. Labruyère'a, zakończona wreszcie wyproszeniem owych współpracowników. Założyli wprawdzie natychmiast nowe pismo: *La voie du Peuple*, ale okazało się już dawniej, że dwa dzienniki socyalistyczne obok siebie istnieć nie mogą; tak upadały jedne po drugich *Égalité*, *Prolétaire*, *Bataille*. Obecnie stanie się zapewne to samo, tylko, że pani Severine może mieć na zawołanie 2 miliony, tamci zaś nie mają nic, wypaść może to, co się dzieje w reszcie niedoskonałego świata: siła przed prawem, błaga przed zasługą dłoni — i wodzowie socyalizmu pozostaną bez organu.

Egrot.

LITERATURA I SZTUKA.

TEATR FRANCUSKI.

Paryż, 3 lutego.

Reformatorskie prądy w teatrze francuskim. — *Crocodile* Sardou. — *Francillon* Dumasa. — Henryk Becque i jego *Michel Pauper*. — Inne sztuki tegoż autora. — *René Mauperin* Goncourta. — Daudeta *Nouma Roumestan* i *Bompart et Tartarin*. — *La comtesse Sarah* Ohneta. — *Patrie* i *Egmont*. — *Noir et Rose* i *Andrée Cornelis*.

Pora teatralna jest obecnie w pełnym rozkwicie w Paryżu. Nie mam zamiaru pisać szczegółowego sprawozdania z dwudziestu kilku ważniejszych scen paryskich; dotknę tylko pokrótce utworów wybitniejszych, wskazując punkty znamienne tego ruchu.

Teatr francuski zdawna przewodniczy scenom całego świata i służy im za wzór; nie obojętne więc są zmiany, jakim on ulega. Wieją zaś i tu prądy reformatorskie.

---

szedł cichutko kolo żony i rzekł do niej łagodnie:

— Otóż są to ci sami ubodzy, których kazałaś mi przyprowadzić; nakarm ich, na Chrystusa!

Lecz zaledwie powiesił palto na haku, gdy na nowo stał się lekkim i rzeźkim. Spogląda przez okno i widzi na dziedzińcu całe zbiegowisko żebraków; widzi i nie pojmuje: czyżby całą tę zgraję chłostać należało?

— Cóż to za tłum? — woła rozwścieczony.

— Jakto, co za tłum? — wszakże są to ci sami ubodzy, których nakarmić kazałeś — odparła zgryźliwie Łowczyni.

— Rozpędzić ich — wrzasnął nieludzkim głosem Łowczy i jak szalony wbiegł do pokoju.

Przez długi czas przechadzał się wzburzony i wciąż myślał, co się z nim stało? Dotychczas był on zawsze człowiekiem akuratnym, a co się tyczy spełniania obowiązków służby — był to istny lew, i nagle stał się chorągiewką.

— Droga Teosiu! zwiąż mnie, błagam ciebie, czuję, że narobię dziś tyle głupstw, że później przez cały rok ich nie naprawię.

Łowczyni widzi, że z mężem jej coś nie dobrego się święci. Rozebrała go, położyła do łóżka i napoiła herbatą. Po upływie kwadransa poszła do przedpokoju i myśli sobie: zajrzę ja do palta, może też w kieszeniach parę grosików znajdę. Przetrząsnęła jedną kieszeń — znalazła pusty woreczek; przetrząsnęła drugą, znalazła jakiś brudny, zatłuszczony papierek. Rozwinęła go, i... krzyknęła!

— To mój mężulek na takie puszcza się rzeczy — rzekła do siebie; sumienie w kieszeni zaprowadził!

Zamyśliła się, komuby to sumienie odstąpić, kogoby można struć niem trochę, nie doprowadzając go jednak do ruiny. Nareszcie wpadła na myśl, że najlepszy zrobi z niego użytek, gdy pośle je żydowi Szmulowi Brzoskiemu.

Powziąwszy to postanowienie, włożyła zaraz sumienie do koperty i napisawszy na niej właściwy adres, wrzuciła list do skrzynki pocztowej.

— No, teraz możesz iść śmiało na jarmark — rzekła do męża, wróciwszy do domu.

—o—

W ten sposób tułało się biedne sumienie po bożym świecie i przechodziło przez ręce tysiąca ludzi. Ale nikt nie chciał go przytulić, przeciwnie, każdy starał się go pozbyć i choćby zapomocą oszustwa odstąpić komu innemu.

Nareszcie sprzykrzyło się biedactwu, że nie ma gdzie głowy przytulić, że musi całe swe życie spędzać u obcych ludzi i nigdzie nie znajduje przystani. Aż oto wzniosło modły do ostatniego swego posiadacza, jakiegoś mieszczanina, który handlował kurzem i w żaden sposób na tym handlu zbogacić się nie mógł.

— Za cóż wy się tak nade mną znęcacie, cóżem ja wam zawiniło, że pomiatacie mną, jak ścierką — skarżyło się biedactwo.

— Cóż mamy z tobą począć, moja pani, kiedyś ty teraz nikomu niepotrzebna — odpowiada znowu mieszczanin.

— Oto co macie ze mną zrobić — odpowiedziało sumienie: — wynajdźcie mi małe dziecię — otwórzcie jego serce i schowajcie mnie w niem, a nuż niewinne niemowlę przytuli mnie i wyhoduje, a nuż powiększy mnie z biegiem lat swoich, a później wejdzie ze mną pośród ludzi — ręczę, że się nie powstydzi.

Wszystko stało się według jego życzenia. Znalazł mieszczanin małe dziecię, otworzył jego serce i schował w niem sumienie.

Rośnie małe dziecko i rośnie w niem sumienie. Będzie małe dziecko dużym człowiekiem i będzie miało duże sumienie. I znikną wówczas wszystkie przewrotności, gwałty i nieprawości, gdyż sumienie nie będzie lękliwem i samo wszystkiem rozporządzać zechce.

Tłom. *W. Kostyn.*

Nie sięgając w czasy Corneille'a, Rasyna, Moliera, a nawet Wiktora Hugo, po których wiele jeszcze zostało w żywej tradycyi scenicznej, zaznaczę fakt, znany zresztą dostatecznie, że spółczesny teatr francuski stworzyli: Augier, Scribe, Dumas młodszy i Sardou. Doprowadzili oni technikę sceniczną do wysokiej doskonałości, dla niej jednak poświęcili wiele z istotnej prawdy życiowej, treść swych utworów zasznurowali w konwenans, wynaleźli budowę sztuczną, której nie należy brać za jedno z wymaganiami rzetelnego artyzmu, pisali komedye dla dowiedzenia pewnych ciasnych lub paradoksalnych tez, zamknęli zresztą teatr cały wyłącznie prawie w zaczarowanem kole powikłanych stosunków miłosnych i małżeńskich, nie pozwalając mu wybiedz po za te ograniczone szranki. To też wydał on wiele rzeczy efektownych, ale widocznie dziś wyczerpuje się i zużywa.

Sardou, jakby czuł ten przełom, porzucił sztuki o poważnym zakroju wewnętrznym, odtwarzające charaktery lub stosunki społeczne i dał przed rokiem *Teodorę*, pracę przeważnie dekoracyjną, nie dramat, lecz tylko *féerie*. Obecnie w tymże samym teatrze Porte St. Martin, który widział pyszną wystawę cesarzowej bizantyńskiej, graną jest sztuka Sardou p. t. *Crocodile*, będącą wprost już „féerie,“ sceniczną zabawką na wzór utworów Verne'a. Jest to historya pewnego statku i młodych bohaterów, którzy odbywają na nim podróż, pełną przygód i zdarzeń niezwykłych.

Dumas pozostał wierny swym *pièce à thèse* i dał w tym roku publiczności do zgryzienia *Francillon*. Jest to zdrobniałe imię pani Francine de Riverolles, uroczej, młodej mężatki, kobiety obdarzonej wszystkimi wdziękami ciała, duszy i toalety. Ale kochany przez nią namiętnie mąż nie zwraca na wszystkie te zalety żadnej uwagi i czas swój trawi po za domem, a nawet w objęciach innych niewiast, mniej od natury i świata uposażonych. Panią tymczasem otaczają młodzi wielbiciele, z którymi pozwala ona sobie na śmiałe bardzo rozmowy, zachowuje się nawet z pozorów dwuznacznie, ale pod pozorami tymi kryje stałą bardzo wierność małżeńską i szczere bardzo przywiązanie do swego prawowitego władcy. Postępowanie p. de Riverolles jest tego rodzaju, że może upoważniać do kroków bardziej ryzykownych; miła więc Francillona oświadcza mu pewnego razu, że gdy życia swego nie zmieni, ona wstąpi niebawem w jego ślady. Groźbę tę puszcza małżonek mimo uszu i idzie sam na bal Opery. Tuż za nim podąża Francillon, gdy zaś p. R. udaje się po balu z jakąś zalotnicą na kolacyę, żona jego chwyta również pierwszego lepszego mężczyznę i naśladuje męża. W „cabinet particulier“ pobliskiej restauracyi zjadają tedy w sąsiedztwie wieczerzę oboje małżonkowie, każde w odpowiedniem towarzystwie. Nazajutrz żona opowiada mężowi otwarcie całą swą i jego wczorajszą wędrówkę. Mąż uszom swym nie wierzy, żona jednak stawia mu przed oczy wyraźne dowody swego wiarołomstwa. Następuje tedy zwykła w takich razach scena, co wolno bowiem małżonkowi, tego nie wolno jego połowicy, separacya itd. Odnajduje się przytem młody człowiek, który towarzyszył Francinie w tej awanturniczej wycieczce. Jest ona tedy pomszczona, mąż ma to, na co zasłużył — autor nie chciał jednak pójść za wewnętrzną logiką położenia i prawdziwych namiętności, nie chciał pogodzić się z prawdą; w sztuce bowiem okazuje się pod koniec, że pani R. chciała tylko męża nastraszyć, że sprzeniewierzenia istotnego nie było i że Francillon niewinną pozostała. Uspokaja go to, nie widzimy jednak, żeby wywarło jakiś wpływ głębszy; autor nie każe się nam nawet domyślać, że Francillon po raz drugi próbę podobną powtórzy na seryo. Konwencyonalne to zakończenie, sprowadzające dramat rzeczywisty do prostej zabawki, nie podobało się wogóle krytyce i publiczności, która radaby widzieć na scenie ludzi rzeczywistych, nie zaś maryonetki. Przyznać jednak należy, że łamigłówka ta przeprowadzona została ze zwykłem Dumasowi mistrzostwem i wykonana świetnie. Panna Bartel w roli tytułowej zbiera zasłużone oklaski. Najwięcej podobała się pierwsza połowa sztuki, w której Francillon wykazuje wszystkie swe zalety paryżanki bez zarzutu. Prowadzi z otaczającymi ją uwodzicielami nader dowcipne i cięte rozmowy, w tonie i wyrażeniach swobodniejszych i śmielej akcentowanych, niż to bywa w rzeczywistości. Pieprzna ta przyprawa służy za przynętę. Wogóle dramaturgowie francuscy, ustalonej sławy i imienia, Dumas i Sardou, aczkolwiek w przeprowadzeniu swych utworów trzymają się reguł dawnych, w pojedynczych ustępach nakładają w ostatnich swych pracach barwy jaskrawo nieraz realistyczne. Można to było już zauważyć w *Teodorze* Sardou i to również stanowi przyprawę *Francillony*.

Jest to jednak drobny krok tylko w kierunku rzeczywistego przeobrażenia dramatu i komedyi, jakiego domaga się szkoła naturalistyczna. Zola dawno już marzy o tej reformie, robił pewne próby w tym kierunku, niedawno zaś zapowiedział znowu, że po ukończeniu całego cyklu swych Rougon-Macquartów, co zajmie mu jeszcze lat pięć i pięć tomów, odda się wyłącznie teatrowi. Tymczasem zaś pojawił się, a raczej wybił się z trudem nowy talent dramatyczny, któremu krytyka rokuje świetną przyszłość w tem „naturalizowaniu“ teatru, a co najmniej stanowisko Jana Chrzciciela w nowym zwrocie *). Jest nim Henryk Becque, którego dramat p. t. *Michel Pauper* wystawiono niedawno w Odeonie. Treścią tego utworu jest miłość człowieka z ludu, robotnika, do córki bogatego szlachcica. Robotnik ten zresztą staje się wkrótce wynalazcą, inżenierem i bogatym fabrykantem. Piękna arystokratka nie kocha go, oddaje się natomiast staremu rozpustnikowi, który ją bardziej pociągał i był bezczelnym. Przekonawszy się o nicości pierwszego kochanka, chce oddać rękę Michałowi Pauperowi, który tymczasem zdobył sobie sławę i dostatki. Nie może mu jednak ofiarować zerwanego już kwiatu swego dziewictwa, wskutek czego, po otwartem wyznaniu świeżo poślubionej, następuje brutalna scena, wreszcie Pauper rozpija się i umiera. Treść, jak widzimy, zużyta, banalna i zakrawająca na melodramat. Utwór nosi istotnie piętno romantyzmu, a nawet symbolizmu, autor bowiem w osobie swego bohatera stara się uosobić lud cały. W pojmowaniu stosunku robotników do mieszczaństwa stoi także na stanowisku zadawnionem. Zamiast ostrych przeciwieństw, które spotykamy w *Germinalu*, stawia tu sielankę zgody klas społecznych. W tym względzie więc dramat Becque'a nie przynosi nam nic nowego. Charaktery jednak rysowane są z wielką prawdą, z realizmem niepodrabianym, akcya toczy się swobodnie, nieprzykrawana do żadnych formułek, sztuka przytem nie zmierza do rozwiązania żadnej tezy, lecz kreśli życie, jakiem ono jest, dając mu tylko pewien podkład pesymistyczny. I w tem właśnie leży krok naprzód.

Autor *Michela Paupera* nie jest początkującym dopiero dramaturgiem. Sztukę powyższą złożył on w Odeonie jeszcze przed rokiem 1870. W roku tym, w czerwcu, została ona wystawioną w teatrze Porte St. Martin, wojna jednak, która właśnie wybuchła, usunęła ją szybko z porządku dziennego. Od tego czasu H. Becque wystawił w długich ustępach parę prac innych: *Parisienne, Sardanapal, Corbeaux*. Ta ostatnia została wygwizdaną. W roku jeszcze 1868 wystawił w Vaudeville'u pierwszą swą sztukę *L'enfant prodigue*. Wszystkie te utwory nie miały dotychczas powodzenia. Zarzucono im, że tło ich jest nadzwyczaj pesymistyczne, niezabawne, zresztą brakło im rzeczywiście tych szczudeł teatralnych, do których publiczność przywykła. Braki dramatów Becquea przypominają trudne początki impresyonizmu w malarstwie, jakie przebywał Manet, a co Zola tak świetnie odtworzył w postaci Klaudyusza z *Oeuvre*. Jest to zresztą udziałem wszystkich torujących nowe drogi w jakiejkolwiek gałęzi sztuki lub życia. Sławni i sławieni geniusze stąpają zazwyczaj już po ścieżkach utartych trudem swych poprzedników i są bardziej całkowici, mniej wewnętrznie rozdarci, więcej wyzwoleni z pod władzy kierunków poprzednich.

Od pewnego czasu zwrot do reformatorskich usiłowań scenicznych we Francyi staje się coraz wydatniejszym. Przed dwoma laty wznowiono w Odeonie sztukę Goncourtów, która ongi dla słabej dozy naturalizmu została sromotnie wygwizdaną, obecnie zaś pojawił się znowu dramat przerobiony z powieści tychże autorów p. t. *René Mauperin*. Daudet, który jak Goncourtowie zaczął pisać początkowo dla teatru, po pierwszych jednak niepowodzeniach zniechęcił się, dziś pracuje znów na tem polu. Po wznowieniu przed rokiem *Arlésienne* w Odeonie, tenże teatr przygotowuje jego pracę, przerobioną z dawnej powieści p. t. *Nouma Roumestan*, poczem da nam sympatyczny autor *Przygód Tartarina* komedyę, osnutą na tych awanturach p. t. *Bompart et Tartarin*.

W teatrze Gymnase wystawiają obecnie nową komedyę Ohneta p. t. *La Comtesse Sarah*. Powtórzę o niej tylko za jednym z krytyków tutejszych, że sztuka ta „niema ani wdzięku, ani sensu, ani znaczenia, ani czegokolwiekbądź, coby ją pozwalało zaliczać do literatury.“ Jest to historya dwóch kobiet, blondynki i brunetki, historya bardzo zwykła, wymyślona dla ubawienia niewymagających mieszczan paryskich. Toż samo można powiedzieć o najnowszej powieści Ohneta p. t. *Noir et Rose*, która świeżo pojawiła się na półkach księgarskich. Sympatycznej natomiast wzmianki godna nowa powieść Bougeta *André Cornélis*, owiana delikatnym pesymizmem i obracająca się oczywiście w zakresie drobiazgowej analizy psychiczno-miłosnej.

Z nowin teatralnych zapisać mi jeszcze wypada nową operę *Patrie*, przerobioną na libreto z własnego dramatu przez Sardou przy współudziale Ludwika Gallot. Muzykę napisał Paladilhe. Edmund Reszke, bas, śpiewa w niej księcia Albę. Grają ją w Wielkiej Operze. W „Opera comique“ wystawiono dramat liryczny p. t. *Egmont*, osnuty na treści tej samej, co w utworze powyższym. Muzyka Salvayere'go, libreto Alberta Wolffa i Alberta Milaud.

Nie skończylibyśmy, gdyby przyszło wyliczać cały repertuar paryski.

E. Przew.

*) Leopold Lacour: *L'évolution contemporaine au Théatre*. „Nouvelle Revue“ sept. 86.

KARTKI ESTETYCZNE.

XIII. Wystawa Brandta.

Zwykle sąd nasz o artyście lub pisarzu żyjącym bywa ułamkowy i niepełny. Gruntujemy go prawie zawsze na ostatniej pracy sądzonego, jaką dano nam oglądać lub czytać. Tymczasem jedna praca artysty jest jak jeden ton w gamie: melodyi, ani harmonii nie tworzy. Chcąc mieć całkowitą podobiznę czyjegoś ducha, musimy koniecznie zestawić, porównać i zsumować wszystko, czem on się światu objawił.

Taki sąd o pisarzu ułatwia nam zbiorowa edycya dzieł jego; o malarzu — zbiorowa wystawa jego obrazów. Ta ostatnia — jeśli tylko urządzona jest z uwzględnieniem pe-

wnej metody — uwidocznia nam nietylko rodzaj i stopień talentu, ale nadto stopniowe rozwijanie się jakiejś znamiennej jego zalety lub wady. A badanie to bywa nieraz bardzo zajmującem. Fałszywy jakiś drobiazg, ledwie dostrzegalny w pierwszych kompozycyach, wyrasta niekiedy z postępem lat do takich rozmiarów, że zakrywa swym cieniem wszystkie dodatnie strony talentu. Kiedyindziej znów słaba iskierka oryginalności prześwituje nieśmiało śród szarego tła prac początkowych, najczęściej pod brzemieniem naśladownictwa niknących. Ale niespodzianie — jeśli tylko życie i warunki otoczenia przyjdą jej z pomocą — rozżarza się ona w świetną gwiazdę, i zapewnia artyście miejsce w sztuce wysokie i odrębne.

I Brandt, którego kilkadziesiąt płócien zebrało „Towarzystwo zachęty“ w oddzielnym salonie, nieodrazu trafił na właściwą drogę.

Poucza o tem krytyczne porównanie dat, wyszczególnionych na każdym obrazie.

Najdawniejszą z tych dat jest rok 1864; najświeższą — 1886. Pomiędzy tymi dwoma krańcami znajduje się cały szereg stopni pośrednich, które (co ku większej chwale artysty zaznaczyć potrzeba) aż do chwili obecnej idą wciąż — w górę.

Ale zanim „etapy“ te rozpatrzymy szczegółowo, zapiszmy przedewszystkiem, iż na tej szczupłej wystawie, która się nazywa „wystawą Brandta,“ znajduje się wszystko— prócz tego, co stanowi koronę artystycznej działalności Brandta, i co daje mu prawo do rangi „znakomitego.“

Gdzież bowiem „Powitanie stepu?“ gdzie „Odsiecz wiedeńska?“ gdzie „Bitwa pod Martynowem?“ gdzie „Jarmark w Balcie?“

Kto wie, czy nie byłoby rzeczą słuszną, głównie ze względu na samego Brandta i jego artystyczne imię, gdyby wobec niemożności dostania tych dzieł kapitalnych, odsłaniających w pełni duchową fizyognomię artysty — zaniechano całkowicie urządzania wystawy... Straciłyby na tem dochody Towarzystwa, ale zyskałby Brandt oraz publiczność, której sądy o sztuce i jej kapłanach nieustannie są u nas bałamucone. Nie mamy jednak zwyczaju zważać na takie — drobnostki...

Cokolwiekbądź, nie bez korzyści oglądamy i tę, niedokładną i niesystematyczną zbieraninę Brandtowskich płócien.

Właściwy Brandt, taki, jakim w historyi naszego malarstwa na zawsze pozostanie, wyziera tu z tych dopiero obrazów, które noszą datę najświeższą, a mianowicie rok 1883 i 86.

A wszyscy chyba wiemy, jakie to nowe pierwiastki wprowadził do sztuki ten dzielny, choć z pewną trudnością rozwijający się, talent, który jest w całem znaczeniu tego słowa, „męzkim talentem.“ Ta męzkość wyraża się u niego nietylko w wyborze treści, zawsze niemal rycerskiej, trochę dzikiej i swobodnej, ale także w energicznym kolorycie i rysunku, a nawet i w tym, przez kolegów-artystów przytaczanym szczególe, że Brandt postacie niewieście kreśli z niechęcią i... kreślić ich nie umie. I w samej rzeczy, śród tych wszystkich wąsalów z podgolonemi głowami, o twarzach suchych, kościstych, na stepowym wietrze wywędzonych, jacy przeważnie głótna jego zaludniają, twarzyczki kobiecej naprożnoby kto szukał. Zabłąkała się jedna na obrazie, przedstawiającym „Zaloty kozaka,“ ale i ta nosi znamię prawie męzkiej energii. Powiadają też, że twarze branek na „Bitwie pod Martynowem“ kto inny Brandtowi domalowywał...

Cofając się wstecz, do źródeł niemal samych twórczości naszego artysty, zatrzymujemy się z ciekawością przed obrazkiem, malowanym dwadzieścia pięć lat temu. Jest to popularna i w licznych odtworzeniach rozpowszechniona sielanka żołnierska: „Puk, puk w okieneczko.“ Jak w prawdziwej sielance, jest tu dużo wdzięku, pogody i miękości. Powiedziałbym nawet, że miękości jest za wiele. Rycerscy „towarzysze“ raźniej szturmowali nawet do... okienek.

Temperament artysty nie wyziera jeszcze z tego miłego i przyzwoicie wypracowanego malowidełka. Ani ludzie, ani konie, ani pejzaż nawet, zbyt dekoracyjny i wypieszczony, nie noszą na sobie piętna tej siły oryginalnej, jaką dziś Brandta cechuje.

Następnym zaraz co do daty jest „Chocim,“ malowany w r. 1867.

Dopóki Brandt nie stworzył rzeczy lepszych, nazywano emfatyczną tę kartę, wedle modnego w swoim czasie, militarno-panoramowego szablonu nakreśloną, jego arcydziełem. Tymczasem dla dzisiejszego widza jest to przedewszystkiem: robota staroświecka. Jakkolwiek dwadzieścia lat zaledwie upłynęło od chwili jej narodzin, wydaje się ona taką z tej głównie przyczyny, iż wykonano ją w duchu szkoły, w owej już epoce przestarzałej.

Wiadomo, iż Brandt jest uczniem Franciszka Adama; choćby kto jednak o tym szczególe zapomniał, jedno spojrzenie na „Chocim“ przypomni mu go od razu. O naśladownictwie świadczy cały układ kompozycyi, wedle gotowego przepisu na obrazy „batalijne“ dokonany. Świadczy też o niem wyraźniej jeszcze drobna skala figurek, niknących wśród wielkiej przestrzeni, oraz rysunek koni, zgoła niepodobny do tych, jakie dziś Brandt maluje.

Obraz może się wydawać pewnym umysłom — ładnym; ale wrażenia siły na nikim nie wywrze. A jednak artysta, zamierzający odtworzyć jedną chwilę z owych rozpaczliwych zapasów, w których obie strony wszystko niemal na kartę stawiały, powinien był nie o wdzięku, lecz przedewszystkiem o sile pamiętać.

Przytem, jakkolwiek wszystkie prawie „batalie,“ prócz właściwych epoce rynsztunków, niczem się zwykle pomiędzy sobą nie różnią, należało charakter długich bojów pod Chocimem historyczniej nieco uwydatnić. Widok owych mężnych zastępów polskiej usaryi i rajtaryi, masakrujących turecką, pierzchającą w nieładzie i nieprobującą nawet obrony hałastrę, fałszywie fakt dziejowy tłomaczy. Chodkiewicz, odziany w purpurę, z gestem bohatera z żywych obrazów, podnoszący swą hetmańską buławę i posadzony majestatycznie na białym, stąpającym jak z partesów wierzchowcu, ma minę, jakby mówił: „przyszedłem, spojrzałem, zwyciężyłem.“ Tymczasem na chocimskich wzgórzach, nad Dniestrem, od krwi ludzkiej czerwonym, zgoła inaczej działo się z naszymi. Bili, ale i ich bito; a chocimskie zwycięztwo, do skromnych rozmiarów honorowego traktatu sprowadzone, zawdzięczać należy bardziej dyplomacyi, niż przewadze oręża. A i o tem także zapomniał artysta, iż chwila, o losach zapasów tych decydująca, nadeszła już po zgonie starego Chodkiewicza...

Z roku 1868 mamy niewielki obrazek, zatytułowany „W miasteczku.“ Zdaje mi się, że był on odtwarzany kiedyś litograficznie na premium Towarzystwa zachęty. I w tym obrazku Brandt nie jest jeszcze sobą. Wykluwanie się oryginalności przychodziło mu widocznie z oporem. Zamiast słońca, które z takiem bogactwem blasku, tak prawdziwie i *szczerze* oświeca ostatnie jego obrazy, widzimy tu oświetlenie sztuczne, jakby naśladowane ze starych płócien szkoły holenderskiej i jakby rozmyślnie powleczone zadymioną powłoką, właściwą kolorytowi, który włosi nazywają *sfumato*. Zbyt przezroczyste światło, przeciwstawione zbyt mętnym cieniom, staje się tu przyczyną takich dziwactw kolorytowych, jak naprzykład stojący po prawej stronie obrazu biały wierzchowiec, który w swem świetle rozpływać się zdaje i wygląda niecielesnie, jak koń-widmo...

Z tegoż samego roku pochodzi owa dziwaczna, choć nie pozbawiona fantastycznego uroku sylweta, obrazująca epizod z *Pana Tadeusza* i zatytułowana: „Hajże na Soplicę!“ Artyście, który zatopił figury wszystkie i cały pejzaż w nieprzezroczystym mroku, i tylko w górnej połowie rozjaśnił swe płótno wielką, czerwoną tarczą wschodzącego księżyca, bardziej widocznie chodziło o ogólny, dekoracyjny efekt, niż o konsekwentne wyrażenie charakterów i konsekwentny również rozkład świateł i cieni. Efekt zdobył...

Rok 1869 przynosi nam „Ukraińców na czatach“; a rok 1871 „Obóz“ i „Przeprawę na promie.“

Wszystkie te obrazy, pokrewne sobie sferą, którą odtwarzają, wyraźnie już nam mówią: w którą stronę zwróciły się stale upodobania artysty. Sferą tą jest „bujna“ natura Ukrainy i wojowniczych jej synów, którzy z równą swobodą harcowali po rodzinnym stepie, jak po obcych sobie szlakach środkowej i zachodniej Europy. Ale po za tą wskazówką, dotyczącą wyboru treści, niewiele w obrazach tych znajdujemy. Wszystkie one sztywne jakieś, zatłoczone figurami drobnemi, o kolorycie niezdecydowanym, dalekim bardzo od późniejszej słoneczności. Brandt ulega w nich jeszcze wpływom obcym i nie ma jeszcze dość siły, aby własnym przemówić językiem.

Wyobraźmy sobie naprzykład, co w dzisiejszej fazie swego rozwoju uczyniłby artysta z tej treści, jaką widzimy w jego dawniejszym „Obozie.“ Byłaby to scena kipiąca życiem, olśniewająca barwami, pełna ruchu, rozmaitości typów, humoru... Ale przed szesnastu laty, choć już niewątpliwie wszystkie te pierwiastki tkwiły w duchu artysty, nie umiał on ich jeszcze uzewnętrznić i znaleźć dla nich formy właściwej. I dlatego „Obóz,“ mimo widocznej pracy w obmyśleniu i chęci wyrażenia właściwego takim scenom charakteru, jest kompozycyą chaotyczną i wrażenia odpowiedniego nie czyni.

Rok 1874, upamiętniony na wystawie „Zalotami kozaka,“ po raz pierwszy objawia światu prawdziwego Brandta, Brandta jako takiego. Warszawa zna dobrze tę jędrną sielankę, daleką od słodkawej sentymentalności dawniejszego „Okienka.“ Kozak, „mołodyca,“ konie i pejzaż — wszystko to sprawia widzowi wielką estetyczną rozkosz, gdyż daje mu nowe zupełnie wrażenie. Widz ten czuje instynktownie, że talent artysty rozszerzył zakres form malarskich i stworzył jeden jeszcze łącznik pomiędzy światem piękna a okiem i duszą człowieka.

Tej sielanki nie oświeca już zadymiona latarnia, lecz słońce prawdziwe — słońce prawdziwe, pod którego promieniami dojrzewa ukraińska pszenica i nabierają rumieńców ukraińskie dziewczyny. Kozak posiada już trafną i silną charakterystykę, jest chudy, giętki, zwinny, z wąsem sterczącym jak jego spisa, z ruchem obcesowym, właściwym mu zarówno wówczas, gdy rzuca się na wroga, jak gdy przypuszcza szturm do — dziewki. I konie też w niczem niepodobne do owych cienkonogich, wygłaskanych i posolityych rumaków, jakie artysta malował dawniej, wzorując się na swym mistrzu Adamie. Znać, że nie brał on ich z drugiej ręki, lecz ze studyów bezpośrednich; w wyborze zaś rasy kierował się osobistem upodobaniem i właściwością swego artystycznego temperamentu.

Po tej świetnej przygrywce następuje cała grupa kompozycyj oryginalnych, świeżych, odsłaniających nam w pełni rodzaj i siłę talentu Brandta. Wszystkie one noszą datę zeszłoroczną i wszystkie kąpią się w słońcu, a wrą zapałem i męzką energią. Artysta odtworzył w nich znakomicie nietylko klimatyczne warunki naszego kraju, ale nadto odrębny temperament plemienia— temperament, wyrównywający się już może dzisiaj pod cywilizacyjnymi heblami, ale tembardziej domagający się przechowania

w tym najtrwalszym z sarkofagów, jakim jest — sztuka.

Gdzież bo naprzykład indziej, jak u nas, tak ogniście „czwórką przez groblę,“ jeżdżą jak to przedstawił Brandt na obrazie taki tytuł noszącym? Ożywia to płótno werwa potężna, a oryginalna — niepodobna w niczem do owych, obcych nam *fureur française*, *furia italiana* itp., lecz napiętnowana szczerze polskim rozmachem, ową ognistą, sypiącą iskry z podkówek i... szabli, dziarskością, jaka u ojców naszych, może z przewagi temperamentu sangwinistycznego, płynęła.

Ten sam rozmach. przypominający nieco arabskie, tak mistrzowsko przez Fortuny'ego malowane *fantasia* — porywa wichrem splątaną gromadę ludzi na innym obrazie, przedstawiającym „Napad tatarów.“ Oko, olśnione w pierwszej chwili tą zawieruchą, po dłuższem dopiero wpatrywaniu, rozróżnić może pojedyncze figury zmieszanej plątaniny ludzi i koni. Ale piorunowa szybkość i groza wojennego ataku mistrzowsko uwydatnione.

Brandt ma ustaloną opinię znakomitego „koniarza“ (tak się zwie w gwarze pracowni malarskich artysta czyniący sobie specyalność z malowania koni), a z popisem tego znawstwa wystąpił, pomiędzy innemi, w wielce oryginalnej pracy p. n.: „Na tropie.“ Widocznem jest, że artyście szło tu głównie o realne, wprost z natury na płótno przeniesione przedstawienie ruchu dwóch koni, pędzących wyciągniętym galopem i w galopie tym, nagłem szarpnięciem uzdy, osadzonych na miejscu. Z zadania tego wywiązał się po swojemu, to jest: mistrzowsko.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wnioski karnawałowe z ostatnich kursów rubla. — Tańczyło się i tańczyć się będzie. — Mający umrzeć. Królowa balu i złota młodzież. — Widok naszego społeczeństwa w przyszłości. — Krótki rodowód dostatku. — Nasze straty w burzy gieldowej. — Sarasate.— Syn swego czasu i swojej rasy. — Piżmo w sztuce. — Ostatnie pieczęcie aktu wygnańczego. — Z dziejów i męczeństwa. — Konkurs *Biblioteki warszawskiej*.

Według ostatnich kursów giełdowych, rubel wart 180 fenigów, to znaczy, licząc *al pari* — 54 kopiejki — jaki stąd wniosek? Trzeba sobie wyprawić balik. Ten gatunek ludzki, któremu już tylko pozostało prawo topić się w rodzinnem Goplc, traci coraz bardziej możność istnienia — co ma robić? Tańczyć. Od najbliższej przyszłości nadciągają chmury, zapowiadające straszną burzę — co począć? Urządzić bal. Maszyny produkcyi krajowej zwalniają swój bieg lub stają — czem się ubezpieczyć? Tańcem. I tak wkoło. Przynajmniej podczas karnawału mamy gotowe rozwiązanie dla wszystkich kwestyj społecznych i ekonomicznych. Rozumni i nierozumni, bogaci i ubodzy, młodzi i starzy — wszyscy są wyznawcami tej wesołej teoryi, która nam, jak uwięzionemu w *Zemście nietoperza*, każe powtarzać: *fideles Gefängniss!* Niejedna „królowa balu“ w swej „świetnej toalecie“ nie ma całej koszuli, niejeden „zachwycający tancerz“ podbija serca pożyczonymi butami — ale zabawa grzmi aż do „białego mazura“ u gościnnych państwa X., którzy posiadają 1,000 rs. rocznego dochodu, proszą po redakcyach o zapłacenie za ich syna wpisu szkolnego, a na jeden „bal“ umieją wydać 100 rs. I ta oryginalna, swojska ekonomika rozpościera się od góry do dołu społeczeństwa. Zamknąwszy oczy, skaczą ludziska w głębszą lub płytszą przepaść, gdzie łamią karki, nogi, ręce, gdzie już na samem dnie okalecząli rozmyślają nad sposobami ratunku. Obserwator, któremu pozory nie olśniewają oczu, widzi mnóstwo okazów moralnego i umysłowego zwyrodnienia, a wytwarzającego nieugięty fatalizm bezsilności i ruiny. Rzadko kiedy spotyka on ludzi, o których powiedzieć może: ci przetrwają... Reszta ze swą lekkomyślnością, marnotrawstwem, niepamięcią o jutrze, nie wytrzyma walki o byt. Za lat 50, za 100 wreszcie, społeczeństwo nasze będzie całkiem nowe: żebracy będą z westchnieniem wspominali o swych przodkach zamożnych, a bogaci utają swoich rodziców biednych. Przekręci się — jak w igrzyskach ludowych — młyn dyabelski, w którym siedzący na górze zjadą ku dołowi, a z dołu wzlecą ku górze. Już dziś odbywa się szybko ten ruch kołowrotowy — nie widzą go tylko zatańczeni. Dość spojrzeć na t. z. „szlachtę.“ Jakże ją „młyn dyabelski“ spuszcza na dół a podnosi równocześnie żywioły dotąd nizko leżące! Jej epicy i lirycy, karmiąc czułem sercem „mających umrzeć,“ nie tracą jednak dobrego humoru i cała ta sprawa przedstawia im się jako wesoła farsa kłopotów sympatycznego szlachcica. Nie jest to wszakże farsa wesoła, ale dramat smutny — smutny zwłaszcza dla tych, ktorzy są jego bohaterami lub czcicielami tych bohaterów. Ów „obywatel“ niezaradny, łatwowierny, hulaka, ssany przez pijawki żydowskie i przez całe życie oganiający się od wierzycieli, ów — jak go nazywa powieściopisarz *Gazety rolniczej* — „przeciętny“ — to nie jest typ przyszłości, czasowo będący w opałach, lecz typ przeszłości, ginący, na zagładę skazany — *moriturus*. Nie schodzi on ze świata sam — towarzyszą mu gatunki rozmaite ze sfer innych, również fatalizmem pędzone do śmierci. Bo i t. z. „inteligencya,“ która zważywszy cały ciężar obecnego życia, woli pod nim paść, niż go ulżyć sobie rozwinięciem swych zdolności ekonomicznych, owa rzesza płocha, strojna, krzykliwa, rozbawiona, pozornie zamożna, w rzeczywistości odłużona — przepadnie, jak rój motyli w chłodach jesiennych. Żaden naród w Europie nie liczy stosunkowo tylu rodzin i jednostek zbankrutowanych, ile my; i jeżeli nie nastąpi w nas jakieś trwałe upamiętanie, jeżeli nie dopasujemy ściśle życia do twardych jego warunków, jeżeli nie przestaniemy ustawicznie karnawałować i kosztownej zabawy uważać za prawo bytu człowieczego, przy końcu stulecia następnego nie będzie między nami 300 rodzin, dziedziczących dostatek w trzeciem lub czwartem pokoleniu. Wówczas wystąpi społeczeństwo świeżych dorobkowiczów — jakiej natury, wartości społecznej i moralnej? — nie wiem i dla tego rzec nie umiem, czy się należy cieszyć ową przemianą, czy smucić. W to tylko wierzę niezbicie, że wiele żywiołów, składających ogół dzisiejszy, przepadnie, umrze samobójstwem. Fakt to tak widoczny, że trzeba zdumiewać się nad ślepotą, która go nie dostrzega.

Niestety, bawimy się nawet naszą lekkomyślnością. Ośmieszy ją pismo humorystyczne, wydrwi feljetonista lub powieściopisarz, uśmiejemy się — i na tem koniec. Większość sądzi, że ta niebaczność jest tylko niewinnym popisem głupoty, ale nie otchłanią, w której ginie dobrobyt społeczeństwa i jego środki istnienia. Moralista, który w wir szaleństw rzuca surowe słowo, jest niesłuchanym przez nikogo dziwakiem, zrzędą lub wątrobiarzem, który chciałby światu krająć kapoty z całunów pogrzebowych. Kogo nie przekonały dotkliwe plagi, tego naturalnie nie przekonają napomnienia. Lekkomyślność jest chorobą równie nieuleczalną, jak melancholia.

Karnawał dobiega końca, więc powyższemi uwagami nikomu go nie popsułem. Spokojnie też mówić mogę o skutkach burzy giełdowej w naszym kącie finansowym. Spustoszenie okazało się większem, aniżeli pierwotnie przypuszczano. Niektóre domy bankierskie straciły podobno po kilkaset tysięcy rubli, a trudno przewidzieć, ile jeszcze stracą, gdyż upadek kursów nieskończony. To są szkody widoczne, bo zapisane w księgach dużemi cyframi. O niewiadomych, niezapisanych, rozdrobnionych na tysiące kieszeni — nikt nie mówi, choć te niewątpliwie przedstawiają się jeszcze pokaźniej. Kraj cały musiał ucierpieć na tym popłochu giełd, wymierzonym głównie przeciwko papierom rosyjskim. Tylko my posiadamy filozofię zeschłej beczki, która nie rozpacza, gdy z niej piwo wycieka kroplami przez szpary i ciągle ma nadzieję, że zanim wszystko wyleci, tymczasem klepki namiękną i ścisną się. Dlatego nawet obecny orkan rynków pieniężnych nie zatruwa nam karnawału. Poszalejc i przeminie — mówimy sobie—bankierzy poderwą się nieco w swych spekulacyach, a ogół pozostanie nietkniętym. Niestety, chociaż błony dyfterytyczne pokazują się tylko w gardle, choroba tkwi w całym organizmie. Rubel spadł w wartości nietylko giełdziarzowi, ale wszystkim. Na giełdziarzu występują strupy, a ogół dojrzy skutki choroby dopiero wtedy, gdy uczuje wycieńczenie ekonomiczne, niemoc zaopatrzenia się w środki życiowe.

Sarasate wycieńczenia tego nie dostrzegł. Miał trzykrotnie pełną salę słuchaczów, a kasa upewniła go, że wielu żądających musiała odprawić bez biletów. Czy mi wolno objaśnić moje zdanie o grze „dyabła hiszpańskiego?“ Przecież tylu mistrzów rozprawia o najwyższych zagadkach wiedzy, ledwie znając jej abecadło — czemużbym ja miał być pozbawiony tego prawa, którego zresztą wcale nie nadużywam. Otóż według mnie albo Hiszpania posiada osobny rodzaj dyabłów, albo Sarasate jest tak podobnym do dyabła, jak p. Seideman do anioła. A nie mam na myśli jego drobnej, niklej, podmuchom wiosennym niezdolnej się oprzeć postaci, lecz jego grę. Gra to doskonale odpowiadająca duchowi czasu naszego i naturze społeczeństw ucywilizowanych: misterna, elegancka, w sztuczkach rozproszona, w kontrastach drobiazgowych lubująca się, gra buduarów zniewieściałości, gra artystycznego piżma, gra czułych nerwów i wątłych mięśni. Ani jednego szerokiego i głębokiego tonu, ani jednej nuty wydobytej silnie, mężko — z pod smyczka wysnuwają się ciągle koronki melodyj, spadają błyskotki i klejnociki, cały migotliwy strój duszy nowożytnej, nieznoszącej drgnień gwałtownych, rozstrojonej, wyperfumowanej, kapryśnej, duszy francuskich „pschuttów“ złotych młodzieńców, zdechlaków, histeryczek, pobożnych kokotek, wonnymi octami natartych piękności, którym amor czerni brwi i karminuje wargi, a serca watą okłada. Nie przeczę, że i ta sfera posiada smak wydelikacony, upodobania artystyczne i zamiłowanie do sztuki, ale sztuki bez gorącej krwi i wybuchowej namiętności, łagodnej, wytwornej, a burzliwej tylko w kaprysie. Zauważyłem, że ile razy skrzypek wydobył smyczkiem ton bardzo nizki i natychmiast bardzo wysoki, wprawiał słuchaczów w zachwyt najwyższy. Gdy zagrał melodyę *Carmeny*, oklaskom nie było końca. Nikogo znowu nie raziła przeróbka energicznego koncertu Brucha na świecidełko, iskrzące się migotliwymi blaskami. Nieustannie czułeś, że w tej sali siedzi rasa zniewieściała, fizycznie wyczerpana, nerwowa, że ten grajek, który ją czaruje, do takiej samej należy. Ludzie zdrowego szczepu, wykształceni fizycznie, karmieni mięsem, porterem i niepaczulowaną literaturą, z Francyi sprowadzaną, nie zachwyciliby się takim mistrzem. Wirtuozostwo zabija sztukę. Społeczeństwo, olśniewane znakomitem wykonaniem, zapomina w teatrze o dramacie i komedyi, a pamięta o aktorach, na estradzie zapomina o muzyce, a pamięta o skrzypkach i fortepianistach. Wszystko jedno, cokolwiek grają, chodzi tylko o to, jak grają. Zwyciężanie trudności technicznych jest głównym przedmiotem podziwu. Otóż Sarasate przedstawia ideał dla takich gustów. Może zagrać utwór Bondarzewskiej, tak jak Żółkowski

może na scenie wypowiedzieć policyjną „kartę pobytu“ — publiczność będzie oczarowana. Ale tylko publiczność z porzeczkowym sokiem w żyłach, z drobnym i słabym pulsem, ze zwiędłem ciałem i wiotką duszą. Jeżeli tacy słuchacze potrzebują samej muzyki, można im zagrać *Suitę* p. Grosmana, baletowego oberka, związanego z baletowym walcem i będą zadowoleni.

Najmocniej przepraszam urzędowych krytyków, że wkroczyłem w ich dziedzinę i prawdopodobnie dopuściłem się bluźnierstwa. Wybaczcie — nie mam w głowie tych wszystkich komunałów, z których splatacie swoje recenzye, nieocenione dla zecerów, zachowujących je w złożonych raz na zawsze i nigdy nie rozbieranych frazesach.

W sejmie pruskim przyłożono ostatnie pieczęcie sromotne do aktu wygnańczego, którego ofiarą dotąd — według statystyki ministra Puttkamera—padło przeszło 28,000 ludzi, oraz zapisano ostatnie protesty. Jak i poprzednio krzywda mówiła językiem skargi bezsilnej, a gwałt odpowiadał jej językiem cynicznego bezwstydu. Przy opowieściach o męczeństwie skazańców zadrżało kilka uczciwych sumień niemieckich — i kurtyna sejmowa na tę tragedyę w sejmie zapadła. Tylko w życiu odgrywa się dramat dalej. *Kuryer warsz.* opisuje niedolę niejakiej Heleny Gutkowskiej, wygnanej z Prus. Mąż jej, oficyalista wiejski, zgnębiony nielitościwem prawem, z rozpaczy zastrzelił się. Biedna wdowa z dwojgiem dzieci przybyła do Warszawy, gdzie nie dostawszy pracy, puściła się pieszo w podroż dwunastomilową do brata. Znaleziono ją konającą na drodze między Grójcem a Białobrzegami. Odwieziona na miejsce, wkrótce zmarła. Takiemi zwycięztwami ozdabia się *Kulturstaat*!

Że też nikt nie ogłosił konkursu na dzieło, wyjaśniające historycznie udział Prus w zagładzie polaków! Byłaby to praca i pouczająca i godna trudu. Natomiast *Biblioteka warsz.* ponawia swój konkurs na pracę, przedstawiającą „Obraz historyi literatury polskiej w wieku XVII.“ Zdaje mi się, że głównym powodem niepowodzenia tej myśli dotychczas są zbyt szerokie granice, w jakich ma się zawrzeć pożądane przez redakcyę badanie. Ma to być bowiem nietylko historya literatury XVII w., ale także historya szkolnictwa, zdarzeń politycznych i społecznych itd. Zadanie trudne i wymagające wielkiego nakładu trudów, który nie ulży 1,000 rs. nagrody. W każdym razie konkurs ten, słusznie skierowany na epokę w dziejach umysłowości naszej mało znaną, należy odróżnić od zabawek w wyścigi nowelistów i fejletonistów, które mnożą tylko naszą literacką galanteryę i nawet nie wywołują świeżych talentów. Pragnęlibyśmy szczerze, ażeby on nie minął bezowocnie. Przecież mamy tylu znakomitych „znawców“ literatury.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Safandulstwo nie pozwala nam ocenić własnej genialności. — Grzech opuszczenia, popełniony przez Matejke. — Niemcy się polonizują. — Cerowanie poszarpanych złotogłowiów i szaraczków w Poznańskiem. — Czy znasz rolnicze zapusty i kulig przemysłowy? — Dlaczego umierają.

Brr, jakież cierpkie, zgorzkniałe bywają fejletony pism naszych. Literaci, którzy z urzędu muszą obserwować społeczeństwo i spostrzeżenia swoje na papier przenosić, wyglądają jak łakomcy, cukierkami tak objedzeni, że już tylko przykry smak czuć mogą. Najpiękniejsze zalety narodowe tracą dla nich powab, nie wywołują uniesienia, zachwytu. U obcych uczcie się panowie fejletoniści uwielbienia geniuszu swojskiego; nareszcie wczytajcie się w notatki reporterów przygodnych; pod naiwnościami stylowemi odgrzebiecie tam żar uczuć rodzimych, przy którym własne serca rozgrzejecie.

Oto *Nowoje Wremia.* Gotowe nam ono 364 razy do roku najczarniejszym atramentem sprawić natryski. Przychodzi karnawał, z nim bal polski w Petersburgu. *Nowoje Wremia* skwapliwie przyjmuje udział w tym objawie polskości, a następnie, urzeczone geniuszem narodowym naszym, woła ustami sprawozdawcy: „Co za kobiety! co za brylanty! co za toalety! Pióro moje za ubogie, żeby oddać piękność tego czarującego obrazu. Kto nie był ani razu na balu polskim, ten nie ma pojęcia o istotnej piękności Petersburga... Rzecz dziwna, dla czego mazur, taniec pełen takiej podbójczej siły i młodzieńczości, wykwitł tylko u polaków...“ Niech mi kto w naszych fejletonach pokaże tyle uznania dla zalet swojskich! Chcecie więcej? Chwilkę cierpliwości. Nadejdzie „piękny“ bal polski w Wiedniu, przeczytacie, co o nim napiszą *Pressy* i *Blatty*.

Nawet na grządce warszawskiego dziennikarstwa powiodło mi się uszczknąć taki pierwiosnek: „Żądne tańców nóżki i nogi ostrzą sobie na dzisiejszy wieczór apetyt, pokładając zaufanie w ustalonej w tym karnawale reputacyi zabaw“.

Tak, panowie, w nóżkach i nogach jesteśmy pełni młodzieńczości i podbójczej siły, nóżki i nogi pokładają zaufanie, ostrzą apetyt, wreszcie magnetyzują i zniewalają najprzekorniejszych, jak oczy potężnego hypnotyzera. To najcelniejsza cząstka nasza i niedaremnie szewcy warszawscy zasłynęli szerzej, niż np. krytycy warszawscy naukowi, literaccy i artystyczni razem wzięci. Trzeba tylko umieć odczuć potężne drgania fibry tanecznej w naszym organizmie. Szkoda niepowetowana, że Matejko nie malował tańców. Jakże pięknie byłby uzupełnił cykl obrazów na tematy z naszych dziejów czerpane. Dziś, kiedy uniesienia mistyczne i napowietrzne widziadła duszą jego zawładły, mała nadzieja, żeby znalazł w sobie dość siły do odtworzenia półziemskich, półrajskich widzeń np. z końca osiemnastego wieku.

Co za kobiety! co za brylanty! co za tualety jaśniały już podówczas! Karnawały z ustalonemi reputacyami zjednywały sobie bezgraniczne zaufanie nóg i nóżek, „ostrząc w nich apetyty“ olbrzymie. Patagońskie ludy tak obżarte, że zjadają swoją ziemię gliniastą po grudce — to tylko nędzne karły przy owych nóżkach i nogach.

Korzystam z chwili radosnego nastroju, żeby zapisać wiadomość o polonizowaniu się fabrykantów niemców w Królestwie. Pierwszym objawem jest — odmówienie im kredytu przez spólzinmików zagranicznych, motywowane niepewnością położenia. Jeszcze kilka lat położenia takiego i niemcy nasi nauczą się młodzieńczo krzesać hołubce.

W dalszym ciągu pociech czuję się obowiązanym nadmienić, że jakkolwiek komisya kolonizacyjna pruska już nabyła w regencyach kwidzyńskiej, bydgoskiej i poznańskiej 11,840 hektarów gruntu za 6,761,745 marek, jednakże nieprawdą jest, że 140 obywateli polaków zgłaszało się z chęcią sprzedaży. Takich obywateli polaków było w Poznańskiem tylko niespełna 70, i to nie wszyscy propozycye swoje przedstawili osobiście; niektórzy używali pośrednictwa faktorów. „Słaba to naturalnie pociecha—mówi czasopismo, z którego czerpię niniejsze cyfry — ale jakaś jednakże przecież, tem cenniejsza, że ocala w pewnej części szarpaną cześć naszego obywatelstwa.“

Z prywatnych, ale — niestety — wiarogodnych źródeł dowiaduję się, że wiele majątków na Podolu musiało, z powodu nieurodzaju, pszenicę kupować na zasiew. Do gubernii lubelskiej, jak donosi organ prowincyonalny, sprowadzono znaczne partye żyta z gubernii orłowskiej dla zaspokojenia potrzeb miejscowych. Cukrowni kilka zamknięto lub ma być zamkniętych. Natomiast wyprawa na zdobycie Rumunii dla naszego przemysłu przygotowuje się ze wzrastającą energią; akcyonaryusze warszawskiej fabryki stali zyskają najmniej po 400 rubli i po parę 500-rublowych akcyj na tem, że zamkną stalownię na Nowej Pradze, zatrudniającą tysiąc z góry ludzi a kapitały, maszyny i część pracowników przerzucą do nowego przedsięwzięcia podobnego w okolice Ekaterynosławia; p. Stefan Szolc Rogoziński zakłada ogromne plantacye kakao w Kamerunie (słynne plantacye kawy pod Płockiem zapędzone w kozi róg), a p. Janikowski, dobrawszy sobie do pomocy adwokata z Kalisza, zajdzie za góry Kameruńskie od południa, celem poczynienia nowych odkryć geograficznych. (Kiedyż te odkrycia wreszcie nastąpią? *Red.*). P. Skierkowski, znany hodowca królików pod Lublinem, wywiózł do Maciejowa, za Bug, dwa wagony żywego towaru, na który amatorów bliżej znaleźć nie może. Natomiast handle nasze sprowadzają z Cesarstwa białe zające, a jakiś tatar chce w Warszawie otworzyć jatki z mięsem końskiem.

Jak szkodliwem jest rozwijanie w chłopskich dzieciach ambicyi i żądzy nauki, świeży dowiódł wypadek. Jan Topielczyk, syn karbowego w Kazanowie, posądzony o jakąś drobną kradzież i zamknięty w obórce tymczasowo (nazajutrz miał być odstawiony do urzędu gminnego), życie sobie odebrał z rozpaczy. Wprawdzie niebawem wykryto rzeczywistego, innego sprawcę kradzieży. Ale Topielczyk tego nie przewidział. On pokochał książki, miał obietnicę, że będzie systematycznie kształcony, umysł jego dawał rękojmię, że praca i wydatki w tym kierunku łożone opłacą się z czasem; lecz w otoczeniu jego nie było takich, którzyby uwierzyli przysięgom jego, że nie on ukradł. Gdyby sąd gminny również podzielił przekonania tych, co Topielczyka w obórce zamknęli, to wymarzona przyszłość, z książkową nauką związana, rozwiałaby się, jak mgła ranna w dolinie. I Topielczyk nie mógł przynieść tej perspektywy.

Jednocześnie prawie z chłopskiem dzieckiem, ale z innych przyczyn, odebrał sobie życie ziemianin z Przasnyskiego. Naciśnięty długami, chcąc się „ratować,“ sprzedał symulacyjnie majątek swój znajomemu, do którego miał zaufanie. Zaufania tego nadużyto, pozornie kupiony majątek zagarnięto naprawdę, i sprzedawca, ujrzawszy się pozbawionym mienia, powiesił się we własnej stodole, zostawiając młodą wdowę z dwojgiem dzieci.

Prawdziwie sąsiedzka uprzejmość dla ziemian bankrutów, ogarniająca szerokie koła obywatelstwa ziemskiego, tym razem straszliwie się pomściła na całej gromadzie ofiar, dołączając do ich liczby i tego, który z rodziną swoją spożywać będzie chleb ze zboża na symulacyjnie kupionym gruncie wyrosłego. Taka strawa nie może budzić chyba zazdrości.

Za wiele złych nasion moralnych w społeczeństwie; choć nie zawsze one padają na tak bujną rolę, jak tym razem, wszakże — obym był fałszywym prorokiem — zrządzą nam one ciężkie jeszcze klęski.

Czy opinia nie może być surowszą dla winnych z powodu, że imię ich — legion?

K. Zbrucki.

O PRAWDĘ.

(Odpowiedź *Wszechświatowi*)

W 4 numerze *Wszechświata* p. Kramsztyk broni poprzednio wypowiedzianego zdania, że biogenetyczne prawo znanem już było przed Darwinem i że spełnione później przepowiednie

wu na tym prawie opartych odkryć (kości ośrodkowej w pokręcie ręki i 13 żebra u embryona ludzkiego) mogły być wygłoszone bez znajomości zasad darwinizmu.

Gdy chciano uszczuplić zasługi Darwina przez przypominanie prac Wallace'a, Goethego, Herdera, Diderota, Maupertuis'go i Empedoklesa, oburzony tem Tomasz Huxley powiedział *).

„Jakkolwiek było wiele dowcipnych poglądów, przez Lamarcka wypowiedzianych, jednakże tak wiele zawierało się w nich niedojrzałych pojęć, a nawet i niedorzeczności, że wszelka korzyść, któraby mogła wyniknąć z trzeźwego i oryginalnego poglądu, zupełnie tutaj zatartą została; i chociaż słyszałem o ogłoszeniu pewnej formuły, traktującej o „powolnem powstawaniu form organicznych.“ w każdym razie wymaga się od każdej hypotezy, aby była przedewszystkiem zrozumiałą i jasną. Z tego więc względu każde szumne zdanie w podobnym rodzaju, niemające znaczenia podstawowego, nic istnieje w rzeczywistości, jakkolwiek na pozór mogłoby istnieć.“

O wiele surowiej jeszcze wypaśćby musiał sąd o słowach trzech przyrodników, Agassiza, Baera i Śniadeckiego, które przytacza p. Kramsztyk, żeby dowieść, iż prawo biogenetyczne już przez nich wypowiedzianem zostało.

Nieodzowności darwinizmu w prawie biogenetycznem dowodzi bardzo proste rozumowanie: wspomniane prawo twierdzi, że rozwój osobnikowy (ontogeneza) jest skróconem i streszczonem powtórzeniem rozwoju rodowego (phylogenezy). Otóż, żeby powiedzieć, czy rozwój rodowy odpowiada osobnikowemu lub nie, trzeba rozwój rodowy znać i przyjąć. Przed ugruntowaniem zatem rozwoju rodowego o prawie biogenetycznem w nauce mowy być nie mogło. „Prawo biogenetyczne— mówi Oskar Schmidt**) — byłoby największym cudem, gdyby się nie dało wyprowadzić z teoryi darwinowskiej.“

Pogłębienie embryologii przez wprowadzenie do niej pojęcia o rozwoju rodowym datuje się dopiero od wyjścia nieśmiertelnych dzieł Darwina.

„Nasz wielki postęp na tem polu — powiada Ernest Haeckel ***) — zasadza się na tem, że pojęcie i zadanie embryologii nieskończenie szerzej bierzemy, niż to miało miejsce przed Darwinem. Najwięksi badacze w dziedzinie embryologii — Wolff, Baer, Remack, Schleiden i cała przez nich utworzona szkoła rozumiała pod tą nazwą aż do ostatnich czasów wyłącznie rozwój zarodkowy osobnika. Inaczej rzecz się ma dzisiaj, kiedy tajemnice pełnego cudów rozwoju zarodkowego nie są już dla nas niepojętemi zagadkami i głębokie znaczenie swoje już ujawniły.“

Tymczasem z przytoczonych przez p. Kramsztyka przyrodników jeden nie znał rozwoju rodowego, a dwaj inni byli wprost przeciwnikami tej teoryi. Z tego też powodu w małej tylko części wartość mające, zresztą fantastyczne i niczem nieuzasadnione odnośne wyrażenia ich są tak dalekimi od prawa biogenetycznego, jak poglądy np. Agassiza na pochodzenie gatunków od teoryi Darwina. Po uskutecznieniu jednak pewnych zmian w tych zdaniach można się w nich dopatrzeć wspomnianego prawa. Jeśli np. w przytoczonem przez p. Kramsztyka orzeczeniu Śniadeckiego, orzeczeniu tak mistycznem, jak panteizm, którego echem ono było, że „co się dzieje w ogromnej całego świata machinie, toż samo podług tych samych praw odbywa się i w każdej pojedynczej budowie,“ zamiast wszystko i nic nieznaczącycg słów „machina całego świata“ podstawimy: „rozwój gatunków,“ a zamiast „pojedynczej budowy“ „rozwój osobnikowy,“ to rzeczywiście otrzymamy prawo biogenetyczne. Manipulacya łatwa!

Baera i Agassiza spotykała jeszcze za życia ta wielka dla nich nieprzyjemność, że zaliczano ich czasami do pionierów darwinizmu i uważano za autorów prawa biogenetycznego.

Przyczyną tego było, że dwaj ci przyrodnicy przyjmowali jednakowy rozwój osobników, pewne zmiany oraz powtarzanie się cech pokrewnych zwierząt w zarodkach, ale to wszystko tylko w granicach pewnej, ściśle określonej grupy zwierząt. Zresztą byli oni zwolennikami Cuviera i jak on wierzyli w stałość i niezmienność typów (plans généraux). Należeli do tych badaczów, co widząc (dzięki studyum paleontologicznym) stopniowanie w powstawaniu zwierząt*), „uważali te objawy tylko za dowody dobrego humoru Boga, który z początku mniej rozwinięte, a następnie bardziej skończone organizmy stwarzał i w rozwoju tych ostatnich pomieścił cechy, przypominające wcześniejsze zwierzęta.“

Przekonania tych przyrodników tak się różniły od teoryi rozwoju, jak pojmowanie „powinowactwa“ zwierząt przez badaczów z pierwszej połowy tego stulecia, dla których ono zwykle było tylko przenośnią dla oznaczenia podobnych cech od znaczenia związku krwi, jakie nadała temu słowu nauka Darwina. Obaj byli wrogo usposobieni względem darwinizmu, na którym przecież opiera się istota prawa biogenetycznego.

Karol Ernest v. Baer, aczkolwiek prosi w pracy wydanej na 3 lata przed śmiercią **), żeby „w walce o darwinizm głosu jego nie liczono, ani *pro* ani *contra*, wyraża jednak zaraz potem takie zdania (np. że *** „nie pojmuje, jak człowiek z biegiem czasu powstać mógł ze zwierzęcia do małpy podobnego“), iż uważać go można za przeciwnika tej teoryi. Zresztą wiadomo, że ten niezapomnianych nigdy zasług embryolog na zasadach nauki, której życie swe poświęcił, starał się potwierdzić i utrzymać podział Cuviera, a zarazem był zwolennikiem postawionej przez tego badacza teologicznej zasady „principe des causes finales.“

Co się tyczy Agassiza, to byłoby wprost pogwałceniem jego myśli narzucanie mu autorstwa prawa biogenetycznego. W istocie nie mógł go postawić człowiek, który był zdania, że ****) „teorya Darwina nie wytrzymuje żadnej gruntownej próby, że jest przywidzeniem wynikłem z chęci wyjaśnienia i tłomaczenia wielkiego prawa i mrzonką krępującą ducha;“ nie mógł go wypowiedzieć przyrodnik, który, gdy prof. Martins odezwał się, że uważa go za ojca prawa biogenetycznego, tak był tem obruszony, że uznał za potrzebne w całym szeregu odczytów uroczyście zaprotestować przeciwko tym słowom.

Przytaczam kilka zdań prof. Jurkiewicza z przedmowy do tłomaczenia jednego z dzieł Agassiza:

„Uwaga jego, że pewna północno-amerykańska ryba (Lepidosteus) przypomina budową dawno zaginione ryby z okresu dewońskiego była powodem, że niektórzy naturaliści opierali na niej swe przekonania, jakoby Agassiz był zdania, że rozwój zwierząt jednych z drugich odbywał się przez długie geologiczne okresy w podobnyż sposób, jak się dziś jeszcze odbywa podczas zarodkowego ich okresu. Innemi słowy, że przechodzenie kolejne formy, jakie obecnie przybiera każde zwierzę podczas swego rozwoju od poczęcia do dojrzałości są powtórzeniem jedynie owych form zwierzęcych doskonałych i zupełnych, jakie kolejnie po sobie następowały przez ciąg okresów geologicznych. Tym sposobem Agassiz przypuszczałby stopniowy i następczy rozwój form zwierzęcych jednych z drugich, a więc stawałby się wyznawcą teoryi przeobrażania gatunków. Chcąc zaprotestować przeciwko temu mniemaniu, Agassiz postanowił wypowiedzieć dwa szeregi publicznych odczytów.“

Jeśli przypomnę jeszcze, że prawo biogenetyczne, jako nieodzowne założenie przyjąć musi dziedziczność, że nadto zboczenia i odstępstwa od niego wyjaśnione być mogły tylko przez wprowadzenie i zastosowanie pojęcia walki o byt i przystosowania do warunków, to jasnem już chyba będzie, że nie mogło ono powstać bez darwinizmu.

Prawo biogenetyczne po raz pierwszy wprowadził do nauki Fr. Müller, ugruntowawszy je na wielu poprzednich pracach, głównie zaś na znakomitych studyach Rütimeyera nad rozwojem koni i własnych, klasycznych badaniach nad rozwojem raków i wygłosił je w dziele wydanem w Lipsku, w roku 1863 p. t. *Für Darwin.*

Mieczysław Kaufman.

*) *Stanowisko człowieka w przyrodzie*, str. 93.
**) *Descendenzlehre und Darwinismus*, str. 181.
***) *Die heutige Entwickelungsgeschichte*, str. 7.

*) O. Schmidt, *Descendenzlehre*, str. 72.
**) *Zum Streit über den Darwinismus*, str. 3.
***) Tamże, str. 4.
****) *Plan stworzenia*, str. 142.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Na dochód Kasy Mianowiskego rozpoczął się już szereg odczytów w Muzeum przemysłu, o których pomówimy później. Wykładali dotąd pp. Dziewulski i Boguski.

Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Biblioteki Polskiej w Rumunii za r. 1886.

Prócz duplikatów, książek dla dzieci i ludowych, zawiera obecnie biblioteka w 2,678 numerach 4,248 tomów. W roku bieżącym powiększyła się o 158 dzieł, z których 83 darowane przez rodaków z kraju i emigracyi, 75 kupionych. Ponieważ od wydrukowania katalogu w r. 1882 dużo dzieł nowych przybyło, ułożyliśmy dodatek, który jest już w druku i po Nowym Roku członkom rozdany zostanie. Na 45 członków, korzystało w r. b. z książnicy 35, którzy 821 książek wzięli do czytania. Do koła opiekunów przystąpił prof, B. Dybowski; wszystkich zatem jest obecnie 11-tu, a mianowicie: J. Kraszewski, Z. Miłkowski, A. Małecki, E. Orzeszkowa, J. Baudouin de Courtenay, A. Giller, Fr. Kopernicki, L. Jenike, ks. B. Chwała i J. Czepielewski.

Przeważna większość dziennikarstwa okazała nam w r. b. szczególniejszą życzliwość, ofiarując Bibliotece swe czasopisma, już to za darmo, jak: Tygodnik ilustrowany, Wszechświat, Pamiętnik fizyograficzny, Słowo, Niwa, Gazeta świąteczna, Dziennik dla wszystkich, Rola, Wieczory rodzinne, Ateneum, Goniec wielkopolski, Dziennik poznański, Muzeum, Goniec świąteczny i Gazeta naddniestrzańska, już to za opłatą porta: Prawda i Kronika rodzinna, już to za pół ceny: Biesiada literacka, Kłosy, Bluszcz, Romans i powieść, Wędrowiec, Przegląd tygodniowy i Przegląd pedagogiczny — za co wszystkim przesyłamy najserdeczniejsze: Bóg zapłać!

Dochód Biblioteki:

Składki członków miesięczne	349.—	frank.
Odsetki od funduszu żelaznego . . .	663.60	„
Nadzwyczajny	—.75	„
	1043.35	„

Rozchód:

Książki i czasopisma	319.65	frank.
Oprawa książek	45.—	„
Porto od listów i paczek	61.35	„
Pomieszkanie, opał, światło, usługa .	423.—	„
Nadzwyczajny	7.15	„
Przelano do funduszu żelaznego . . .	187.20	„
	1043.35	„

Fundusz zatem żelazny wynosi obecnie 7,444.20 fr. O funduszu szkolnym złożyliśmy osobne sprawozdanie, które w osobnych odbitkach rozesłaliśmy do wszystkich czasopism i osób interesowanych; teraz zaznaczymy tylko, że cząstka z tego funduszu, przeznaczona na potrzeby miejscowe, urosła już do sumy 1,110.10 fr. Na cele dobroczynne wpłynęło od członków i innych osób 167 fr., z których dano na weteranów z r. 31-go 11.90 fr., na wygnańców z Prus 21.10 fr., na pogorzelców w Grodnie 104.45 fr. Drobniejsze wsparcia na miejscu 17 fr.

Wśród niknącej z każdym rokiem liczby rodaków w Rumunii, Biblioteka Polska powinna być uważaną i cenioną jako ognisko, mogące skupić tych wszystkich, którzy pragną zostawać w żywym stosunku z przejawami ducha narodowego w kraju i utrzymywać czucie pomiędzy sobą, tak niezbędne dla nas, rozbitków na obcej ziemi. Jako znak ważny a pocieszający, który odzwierciadla choć w części tę potrzebę duchową zjednoczenia, poczytujemy wybranie w r. b. prezesa Biblioteki przez „Koło polskie“ w Bukareszcie na członka honorowego, wskutek czego spodziewać się można zbliżenia i utworzenia z czasem szerszej organizacyi. To też mając duszne zadowolenie ze spraw dokonanych i chcąc pracować wytrwale dla lepszej

przyszłości, zamykamy to sprawozdanie *hasłem* przez 21 lat istnienia Biblioteki Polskiej w Rumunii stale powtarzanem: „Jeszcze nie zginęła“ i wykonywanem: Nie dajmy się!

Jassy, dnia 31 grudnia 1886.

Zarząd: Dr J. Łukaszewski, ks. B. Chwała, dr Lipa, A. Gąsiorowski, K. Szulc, E. Beldowicz.

Inspektorem szkoły technicznej drogi żelaznej Nadwiślańskiej w Lublinie mianowało ministeryum komunikacyi p. Siergiejewa. Poprzednio posadę tę zajmował p. Nowakowski.

O kandydatach do posad sądowych zażądało ministeryum sprawiedliwości doniesień, czy zajmowali się prowadzeniem śledztw karnych i gdzie życzyliby sobie objąć posady: w Cesarstwie, na Syberyi lub w kraju Zakaukazkim.

Ograniczanie żydów. Dzienniki rosyjskie zapewniają, że według świeżo rozesłanego okólnika ministeryum skarbu, żydom obcokrajowym zabronione ma być prowadzenie handlu i agentur wszelkiego rodzaju bez oddzielnego pozwolenia ministeryum skarbu. Winni niezastosowania się do tej decyzyi, mają być niezwłocznie wydaleni z kraju.

Spółki ziemiańskie. Dwa lata temu 28 ziemian płockich stawiło się przed notaryuszem, p. Zygmuntem Łempickim, w Płocku i podpisało umowę, przez którą zobowiązali się do wzajemnego wynagradzania strat w razie pogorzeli, w inwentarzach, ziemiopłodach i przerobach rolniczych, znajdujących się w posiadanych przez nich majętnościach, z wyłączeniem okowity. Umowa trwać miała lat 12 (do 1 lipca 1896 r.) i obejmowała paragrafy, określające prawa i obowiązki uczestników, atrybucye zarządu i zebrań ogólnych, sposób utworzenia kapitału rezerwowego, pokrycia strat pogorzelowych i likwidacyi towarzystwa. Spółka weszła w życie i zawiązała z towarzystwem „Jakor“ stosunek w przedmiocie reasekuracyi. Tymczasem w kilka miesięcy po zawarciu umowy notaryalnej, sąd okręgowy w Płocku postawił regenta Łempickiego pod zarzutem spisania bezprawnie aktu zawiązującego spółkę bezimienną, która, podług orzeczenia kodeksu handlowego, może powstać tylko za zezwoleniem najwyższej władzy. P. Ł. złożył oświadczenie, że umowa niniejsza nie nosi cech spółki cywilnej, do której uczestnicy wnoszą pewne wkłady dla osiągnięcia spodziewanych zysków — jest to kontrakt zamienny. Gdyby nawet była to spółka cywilna, to nie stosowałby się do niej ograniczający przepis kodeksu (art. 37), gdyż dotyczy on spółek handlowych, komandytowych, których kapitał zakładowy przewyższa 150,000 rs. Sąd okręgowy, po rozpatrzeniu objaśnienia powyższego, znalazł, że uczestnicy aktu mieli zamiar zawiązać nie spółkę wprawdzie, ale towarzystwo stanowiące osobę prawną, co jest wzbronione przez ustawę o zapobieganiu przestępstwom, z tych zasad przeto sąd postanowił zwrócić uwagę regenta Ł. na niewłaściwość sporządzenia aktu i takowy uznać za nieważny. Izba sądowa, do której apelował skazany, orzekła, że akt, jako wynik woli stron, przyodziany tylko przez regenta w formę prawną, nie może być unieważniony bez uczestnictwa stron. Regent wszakże przekroczył rozporządzenie Komitetu do spraw Królestwa z d. 14 kwietnia 1872 r., wymagające dla zawiązania towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia zezwolenia Najwyższej władzy i z tego względu postanowiła regenta oddać pod sąd. Jakoż wydział karny sądu okręgowego w Płocku, po rozpatrzeniu sprawy, uznał regenta Ł. winnym opieszałości w wykonywaniu obowiązków i skazał go na upomnienie wobec sądu. Co się zaś tyczy ważności zawartej umowy, to wyrok nic o niej nie wspomniał. Prokurator wniósł od tego wyroku rekurs do Izby sądowej. Obronę za obwinionym wnosił adw. przys. Pepłowski, który dowodził, że regent działał w najlepszej wierze, kierując się takiem a nie innem pojmowaniem przepisów. Izba sądowa zatwierdziła wyrok sądu okręgowego, skazujący na upomnienie, zaś umowę spółkową uznała za nieważną w znaczeniu aktu notaryalnego.

Ruble rosyjskie. jak donoszą *Birżewyja Wiedomosti*, polecił minister skarbu rumelijski celnictwu w Filipopolu konfiskować przy wwozie przez granicę, jako towar zakazany.

Szkołom prywatnym w Królestwie okręg naukowy warszawski nakazał stosować się do przepisów, które określają wiek uczniów i uczennic, wstępujących do gimnazyów i progimnazyów.

Z powodu reorganizacyi zarządu leśnego w Królestwie, która ma być przeprowadzona w ciągu lat 3-ch, od 13 stycznia 1887 do 1889 r. włącznie, posady nadleśnych, podleśnych, strażników, strzelców i wogóle służby niższej, stopniowo będą znoszone, natomiast wprowadzoną zostanie organizacya, obowiązująca w Cesarstwie.

Pamiątkę śmierci Puszkina, poległego w pojedynku d. 10 lutego 1837 r., obchodził w tych dniach Cesarski uniwersytet w Warszawie, stosownie do rozporządzenia p. ministra oświaty.

W Łodzi projektowane jest stowarzyszenie opieki nad chłopcami izraelskimi, oddającymi się nauce rzemiosł.

Śmierć Zygmunta Augusta jest przedmiotem ostatniego obrazu Matejki. W głębi alkowy spoczywa na łożu Zygmunt August, bliżej widać biskupa z wiatykiem, Giżankę, ostatnią kochankę królewską, lekarza i domowników.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stud. III kursu. W r. 1882.

X. X. Na tem miejscu nie możemy pisać ponownej recenzyi dziełka, którą już *Prawda* zamieściła. Wogóle zawiera ono wiele wywodów naukowych i słusznych, oraz wiele niedojrzałych, podyktowanych przez chęć utrzymania się w „bezstronności,“ która czasem rodzi większe dziwactwa, niż stronność.

P. St. Jak. w Zurichu. Adresu p. Chełmońskiego, zawiadującego stypendyum Skrzyneckiego, nie znamy. Nie wiemy również, kiedy wyjdzie *Mechanika* Frankego.

K. J. „Obskurantyzm“ znaczy: ciemnota, „oportunizm“ — zasada stosowania się do czasowych potrzeb i okoliczności.

Autor bezimiennego listu do d-ra Biegeleisena zechce się zgłosić do naszej redakcyi po odpowiedź.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Февраля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.